



PISMO PG

PISMO PRACOWNIKÓW I STUDENTÓW POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ

MARZEC 1999

ISSN 1429-4494

NR 3 (51)/99 ROK VII

ALLELUJA!



Rys. T. Sitek

POLSKA
AKADEMIA NAUK
KOMITET
ELEKTROTECHNIKI
SERIA
WYDAWNICZA
"POSTĘPY NAPĘDU
ELEKTRYCZNEGO"

Romuald Szczęsny

KOMPUTEROWA SYMULACJA
UKŁADÓW
ENERGOELEKTRONICZNYCH

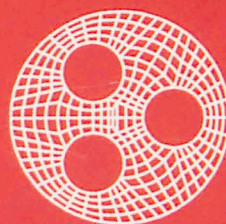


Wydawnictwo Politechniki Gdańskiej 1999

POLSKA
AKADEMIA NAUK
KOMITET
ELEKTROTECHNIKI

Paweł Zimny

METODY
WARIACYJNE
W ELEKTROTECHNICE

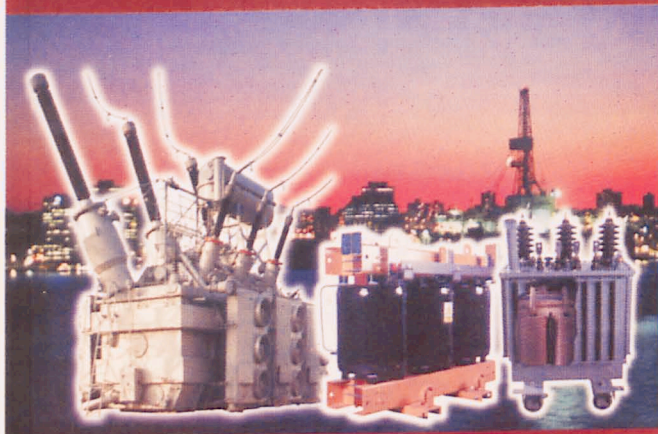


Wydawnictwo Politechniki Gdańskiej 1999

Politechnika Gdańska
ABB Elta Sp. z o.o.

WACŁAW MATULEWICZ

Diagnostyka transformatorów energetycznych

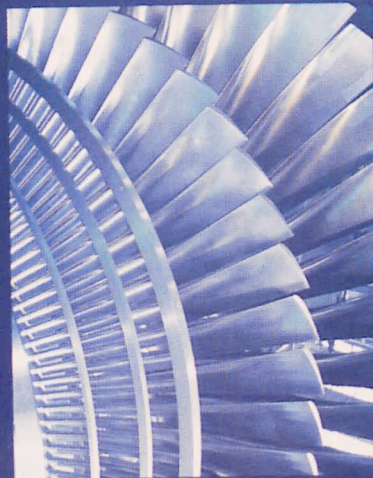


Gdańsk 1998

Politechnika Gdańska
ABB Zamech Ltd

ROMUALD PUZYREWSKI

14 wykładów teorii stopnia maszyny wirnikowej
- model dwuwymiarowy (2D)



Gdańsk 1998



"Pismo PG" wydaje Politechnika Gdańska
za zgodą Rektora i na zasadzie pracy społecznej
Zespołu Redakcyjnego.

Autorzy publikacji nie otrzymują honorariów.
Wszelkie prawa zastrzeżone

Adres redakcji:

Politechnika Gdańska
Dział Organizacyjno-Prawny
Zespół ds. Informacji i Promocji
ul. G. Narutowicza 11/12, 80-952 Gdańsk
tel. (48 58) 347 17 09, fax 341 58 21

Zespół Redakcyjny:

Waldemar Affelt (sekretarz),
Zbigniew Cywiński, Jerzy Kulas,
Jadwiga Lipińska, Adam Synowiecki,
Joanna Szlączyńska, Anna Szmaja

Opracowanie techniczne i typograficzne:

Skład komputerowy w programie Ventura Publisher
Janina Poćwiardowska
Zespół ds. Informacji i Promocji, e-mail inprom@pg.gda.pl

Stala współpraca:

Zespół Technik Multimedialnych

Korekta:

Joanna Szlączyńska

Druk:

Zakład Poligrafii Politechniki Gdańskiej

Numer zamknięto 12 marca 1999 r.

Zespół Redakcyjny nie odpowiada za treść ogłoszeń i nie zwraca
materiałów nie zamówionych. Zastrzegamy sobie prawo zmiany,
skracania i adjustacji tekstów. Wyrażone opinie są sprawą autorów
i nie odzwierciedlają stanowiska Zespołu Redakcyjnego lub
Kierownictwa Uczelni.

Pojedyncze egzemplarze PISMA można otrzymać
w księgarni w Gmachu Głównym

Spis treści

Wiosenne Alleluja <i>Jadwiga Lipińska</i>	4
Ks. Bronisław Komorowski - niedościgły wzór do naśladowania <i>Aleksander Kołodziejczyk</i>	5
Polonia Gdańska i ks. Bronisław Komorowski <i>Mirosław Paracki</i>	5
Rok 1945, ostatnie dni marca <i>Jerzy Sawicki</i>	10
75 lat żeglarstwa akademickiego na Wybrzeżu Gdańskim <i>Wojciech Hryniewicz</i>	12
W 50 lat po tragedii jachtu "Poświst" na Zatoce Gdańskiej <i>Jan Jabłoński</i>	15
Kiedy zakończy się odyseja jachtu "Dal"? <i>Tomasz Pankiewicz</i>	17
Prezentacje	18
Szachownica pragnień i możliwości - czyli gry dydaktyczne <i>Krystyna Pokrzywnicka</i>	19
Kongres Metrologii, Gdańsk '98 <i>Romuald Zielonka</i>	23
Autokarem z Gdańska na Saharę <i>Róża Janca-Brzozowska</i>	24
Komputeryzacja to nie wszystko - czyli refleksje z pobytu w bibliotekach Uniwersytetu Katolickiego w Louvain-la-Neuve (cd.) <i>Barbara Kaczor</i>	26
Etyka a religia chrześcijańska we współczesnym świecie. Czy postępujemy moralnie i zgodnie z nakazami naszej wiary? <i>Dorota Czuchwica</i>	28
Rodzinna strategia gminy <i>Ryszard Burchard</i>	29
Opowieści kreślarniane (6) <i>Kazimierz Iwanowski</i>	31
Obrazki z zawodowego życia absolwenta (cd.) <i>Krzysztof Targowski</i>	32
Magister (cd. z nr 9/98) <i>Edward Kaczmarek</i>	34
Komu potrzebna jest Dolina Radości? <i>Marcin Stanisław Wilga</i>	36



SENATOR
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
Prof. dr hab. Edmund Wittbrodt

Gdańsk, 4 marca 1999 r.

*J.M. Rektor
prof. Aleksander Korościński
do wiadomości*

J.M. Rektor
prof. Włodzimierz Siwiński
Uniwersytet Warszawski

Wielce Szanowny Panie Rektorze,

Serdecznie i szczerze gratuluję decyzji. W pełni ją popieram. Uzyskanie dyplomu ukończenia studiów wyższych na podstawie pracy będącej plagiatem jest nie do przyjęcia i ze wszech miar naganne. Ktoś, kto popełnia plagiat działa świadomie, a zatem nie ma kwalifikacji etycznych i moralnych do otrzymania tytułu zawodowego (dotyczy to zresztą nie tylko tytułu zawodowego). Wątpliwa też jest jego wiedza merytoryczna. Tolerowanie takich działań godziło by w sposób istotny w oczekiwania i zaufanie społeczeństwa do uczelni wyższych oraz wszystkich, legitymującymi się dyplomami ich ukończenia.

Podjęta przez Pana Rektora decyzja jest właściwa bez względu na istniejące rozwiązania legislacyjne. Oznacza brak akceptacji dla takich działań. Niedomagania przepisów nie są, i nie mogą stanowić w tym przypadku żadnego usprawiedliwienia. Z pewnością potrzebna jest szczegółowa analiza i być może zmiany w przepisach, a także dyskusja dotycząca roli oraz odpowiedzialności promotorów i recenzentów. Jednakże podobnych sytuacji całkowicie wykluczyć się nie da w przyszłości. Jest oczywiste, że naganne działanie obciąża całkowicie jego sprawcę, i to bez względu na to, czy zostało ono ujawnione.

Niestety, ostatnio coraz częściej jesteśmy świadkami podobnych zdarzeń. Środowisko akademickie musi się temu zdecydowanie przeciwstawić. Dlatego też uważam, że decyzja Pana Rektora jest godna naśladowania.

Z wyrazami najwyższego szacunku

Do wiad.

Minister Edukacji Narodowej - prof. Mirosław Handke
Przewodniczący KRASP - prof. Aleksander Koj
Przewodniczący RGSzW - prof. Andrzej Pelczar

Wstał Pan Jezus z martwych
po trzydniowej męce.

**Chodzi po wsi naszej
z chorągiewką w ręce,
powiewa nią, wyśpiewuje
swoją Alleluję.**

**Po podwórkach pieją
poranne koguty
chodzi Jezus z kiejdan
śmiertelnych rozkuty.
Chorągiewką wymachuje
nucąc Alleluję.**

Tak oto zwrotkami prostego wiersza wprowadza nas Jan Kasprówic w tę szczególną atmosferę wielkiego Tygodnia i Świąt Zmartwychwstania Pańskiego.

Alleluja - Hallelu - Jah! Chwalcie Boga, składajcie Mu hołd. To biblijne wołanie jest zarazem hymnem Wielkiej Nocy, monumentalnym Alleluja w oratorium Haendla "Mesjasz".

Budzi się ziemia z wielkim pośpiechem z zimowego snu, by zdążyć zakwitnąć kolorowymi kwiatami i młodą zielenią na wiosenne Alleluja. Czuje się wokół gwałtowne tętno życia, krążą szybko soki w słojach drzew i we krwi ludzi i zwierząt. Ciepły wiosenny wiatr na przemian z ostrymi podmuchami z północy omiata szybko szarą jeszcze ziemię. Powracają do gniazd ze świata pierwsze ptaki - czajki, dzikie kaczki, gęsi, żurawie, po nich skowronki, jaskółki, bociany. Cała przyroda przygotowuje się do największego święta chrześcijaństwa, do misterium męki Pańskiej i do Święta radości i tryumfu Zmartwychwstania.

Najpierwsze pojawiają się w lesie różowe pachnące kwiatki wilczego łyka, a wśród brązowych i zeschłych liści wyrastają błękitne przyłaszczki. Na coraz większych polankach zaczynają bielić się nasze rodzinne anemony - zawilce. Na łąkach i połoninach kwitną już liliowe, białe i szafirowe krokusy oraz nieśmiało wychylające się z trawy stokrotki.

W wezbranych strumyczkach, toczących z radością lodowate jeszcze swe wody, pęcznieją złociste kaczeńce. Na brzegach rzek i jezior spotkać można kępy łóz i wierzbowych krzewów obsypanych białymi baziami - kotkami, które dla nas pozostaną na zawsze symbolem nie tylko wiosny, ale i zwiastującej Święta Wielkanocne - Niedzieli Palmowej. Symbolem Świąt stały się również gałązki bukszpanu, barwnika i borówki brusznicy, zwanej w niektórych regionach kraju - borówczewiem, którymi upiększamy koszyczki ze "święconym". Wstawione wcześniej do wody gałęzie modrzewia, forsycji

i brzozy napełniają nasze domy delikatnym zapachem wiosny, zaś królewska woń hiacyntów, zdobiących nasze raczej skromne wielkanocne stoły, zmiesza się z aromatem świątecznych wędlin i ciast.

A przecież nie zawsze stoły te bywały takie skromne jak dziś. Historia dostarcza nam wielu wspaniałych opisów "święconego", a niektóre z nich są wręcz niewiarygodne. Dla ciekawości, jak to drzewiej bywało, przytoczę tu jeden z takich nieprawdopodobnych opisów "święconego". Przepisuję dosłownie z Kalendarza Polskiego Józefa Szczypki: "W jednym ze starych kalendarzy poznańskich znajduje się opis bez daty; zdaje się jednak, że musiało to być za czasów panowania Władysława IV. Wojewoda Sapieha w Dreczynie takie wyprawił Święcone, na które zjechało się co niemiara panów z Litwy i Korony. Na samym środku był baranek wyobrażający Agnus Dei z chorągiewką, calutki z pistacjami; ten specjal dawano tylko damom, senatorom, dygnitarzom i duchownym. Stało 4 przeogromnych dzików, to jest tyle, ile części roku. Każdy dzik miał w sobie wieprzwinę, alias: szynki, kielbasy, prosiątka. Kuchmistrz najcudowniejszą pokazał sztukę w upieczeniu tych odyńców. Stało tandem 12 jeleni, także całkowicie pieczonych ze złocistymi rogami, całe do admidrowania: nadziewane były rozmaitym zwierzyzną, alias: zającami, cietrzewiami, dropiami, pardwami. Te jelenie wyrażały 12 miesięcy. Naokoło były ciasta sążniste, tyle, ile tygodni w roku, to jest 52, całe cudne placki, mazury, zmułdzkie pierogi, a wszystko wysadzane bakaliją. Za nimi było 356 babek, to jest tyle, ile dni w roku. Każde było adorowane inskrypcjami, floresami, aż nie jeden czytał, a nie jadł. Co zaś do bibendy: było 4 puchary (exemplum 4 pór roku), napełnione winem jeszcze od Króla Stefana. Tandem 12 konewek srebrnych z winem po Królu Zygmuncie; te konewki exemplum 12 miesięcy. Tandem 52 baryłek, także srebrnych in gratiam 52 tygodni. Było w nich wino cypryjskie, hiszpańskie i włoskie. Dalej 365 gąsiorków z winem węgierskim, alias tyle gąsiorków, ile dni w roku. A dla czeladzi dworskiej 8760 kwart miodu robionego w Barezie, to jest tyle, ile godzin w roku".

Czy to nie ciekawy opis? Tak świętowali ongiś nasi przeczni przodkowie. Ale na takie pomysły "święconego" mogli sobie pozwolić jedynie Sapiehowie, Radziwiłłowie i inne znakomite rody polskie.

My zadowolimy się być może tylko kolorowymi piśankami z chrzanem, mazurkiem cygańskim, drożdżową babką z rodzynkami i sernikową paschą z bakaliami. Uruczmy się szynką, pieczeniową wołową i galaretką z kurczaka. Zaś co do "bibendy", to już każdy rozważy ten problem według własnych możliwości i gustu. A tak nawiasem mówiąc, to samo mogłoby się odnosić także do wielkanocnego jadła.

Tempora mutantur...

*Jadwiga Lipińska
Klub Seniora*

Ks. Bronisław Komorowski - niedościgły wzór do naśladowania



Żują jeszcze świadkowie pamiętający czasy, w których przyznawanie się do wiary katolickiej było niebezpieczne, a w najlepszym razie narażało na kłopoty, czasy szykanowania i prześladowania księży katolickich. Dzięki Bogu, te czasy minęły. Na szczęście w Gdańsku minęło również zagrożenie wynikające z faktu bycia Polakiem. Żyją jeszcze ludzie, którzy byli obiektem ubliżania, zacieklej nagonki, obrzucania obelgami, bicia, dyskryminowania, którym niszczone mienie i wobec których pałano nienawiścią tylko dlatego, że należeli do mniejszości. Z tych pobudek z gdańskiej uczelni relegowano studentów jedynie za to, że byli Polakami. Stało się to dokładnie 60 lat temu - 24 lutego 1939 roku SS-mańskie bojówki siłą wyrzuciły z Politechniki Gdańskiej polskich studentów.

Jeszcze większym zagrożeniem w Gdańsku w latach 30. było podejmowanie przez księdza katolickiego jawnej działalności na rzecz polskiego środowiska. Taka postawa nieuchronnie prowadziła do tragedii, stawała się równoznaczna z wydaniem na siebie wyroku śmierci, śmierci męczeńskiej, w nieludzkim poniżeniu i upodleniu. Taki los spotkał sługę bożego księdza Bronisława Komorowskiego, duszpasterza Polonii gdańskiej, organizatora polskiej parafii w Gdańsku, działacza polonijnego, wielkiego patriotę, odważnego orędownika i bojownika o sprawę polskie, opiekuna skrzywdzonych i upokorzonych. Również gdańskie środowisko akademickie zawdzięcza Mu wiele. Jako pierwszy duszpasterz polskich studentów, pełniący tę posługę w okresie antypolskiego terroru, niejednokrotnie odważnie stawał w obronie prześladowanych młodych Polaków, którzy zdecydowali się podjąć studia w Gdańsku. Był również wzorem człowieczeństwa. Torturowany i maltretowany, sponiewierany do ostatnich granic, bity do utraty przytomności miał jeszcze siłę pocieszać współwięźniów, świecić przykładem, w ukryciu sprawować najświętszą ofiarę, udzielać komunii świętej, często jedynego lekarstwa dla ciała i ducha. Stał się świętym za życia. Zamordowanie Go właśnie w Wielki Piątek jest widocznym znakiem, iż Bóg już wtedy przyjął go do grona świętych. Prawdopodobnie, tak jak i inni męczennicy, w chwili konania usłyszał kojący głos Pana: *Jeszcze dziś będziesz ze mną w Raju.*

Akcja na rzecz zbudowania pomnika słudze bożemu i gorliwemu patriocie jest zawsze godna poparcia, zasługuje na wszechstronną pomoc. Odsłonięcie pomnika ks. Komorowskiego sprawi nam radość i satysfakcję. Czy jednak będzie tym, czego najbardziej oczekuje od nas ks. Bronisław, czy ten pomnik również Jemu sprawi największą radość? Myślę, że największą radość sprawimy Mu przez czerpanie wzorców z Jego życia. Ksiądz Komorowski swoim życiem i postawą nadal zachęca nas do godnego postępowania, zgodnego z przykazaniami boskimi, w duchu poszanowania wartości chrześcijańskich. Oczekuje, żeby te zasady nie były dla nas li tylko głoszonymi hasłami, pustymi frazesami, czy wręcz służyły wyłącznie jako kamuflaż w walce politycznej. One dla wyznawców Chrystusa muszą być jednoznacznym drogowskazem. Ks. Komorowski wiedział, na co się narażał, oddał swoje życie, bo pokochał ludzi, uwierzył w nich, dążył do tego, żeby człowiek nie upodlał swojego bliźniego, żeby ludzie byli wzajemnie dla siebie braćmi niezależnie od poglądów i narodowości, żeby sprawujący odpowiedzialną władzę nie sięgali po cudzą własność, żebyśmy sobie wzajemnie pomagali.

Tak nam dopomóż Bóg!

Aleksander Kołodziejczyk
Rektor Politechniki Gdańskiej

Polonia Gdańska i Ks. Bronisław Komorowski

Wykład wygłoszony na koncercie poświęconym pamięci Polonii Gdańskiej w dniu 12 lutego 1999 roku w auli Politechniki Gdańskiej

Ekscelencjo, Najdostojniejszy Księżę Arcybiskupie,
Szanowna Pani Konsul,
Panie Senatorze,
Panie Prezydencie,
Magnificencjo, Dostojny Rektorze Politechniki Gdańskiej,
Drodzy Państwo

Podczas dzisiejszego uroczystego koncertu poświęconego pamięci Polonii Gdańskiej przypadł mi zaszczyt wygłoszenia referatu na temat: *"Polonia Gdańska i Ks. Bronisław Komorowski"*. Świadom jestem, że podczas tego wystąpienia nie sposób poruszyć wszystkie zagadnienia związane z tematem, który nas gromadzi w tym pięknym gmachu Politechniki Gdańskiej, dlatego proszę o zrozumienie i cierpliwość.

Szanowne Audytorium

W wyniku Traktatu Wersalskiego z 28 czerwca 1919 roku zostało ustanowione Wolne Miasto Gdańsk, w którego granicach znalazły się, oprócz samego Gdańska, również Żuławy po rzekę Nogat oraz znaczne obszary Gdańskich Wyżyn, a także Sopot i Oliwa. Teren Wolnego Miasta Gdańska, który liczył 1893 km² (bez powierzchni wód portowych) zamieszkiwało ponad 355 tysięcy osób. Do 1934 roku ludność wzrosła do 409 tysięcy, a następnie ulegała stopniowemu spadkowi, tak że w 1939 roku wynosiła ponad 388 tysięcy. Ze względu na to, że Wolne Miasto Gdańsk stanowiło swego rodzaju miasto-pań-

stwo, ludność miejska tego obszaru była znacznie liczniejsza niż ludność wiejska. W 1929 roku mieszkańców Gdańska, Sopotu, Nowego Dworu i Nowego Stawu było razem 291 650 osób, co stanowiło 81,1% ogółu zaludnienia. W gminach wiejskich znajdowało się w tym czasie 113 867, to znaczy 18,9% ogółu ludności.

Ludność Wolnego Miasta Gdańska - w okresie międzywojennym - charakteryzowała się również dużą liczbą emigrantów, którzy według spisu z 1923 roku stanowili 8,4%, a w 1929 roku 15,2% ogółu ludności. Ten widoczny wzrost spowodowany był przede wszystkim korzystną koniunkturą ekonomiczną. Przykładem tego jest rok 1927, w którym "godzina płacowa" wynosiła dla np. murarzy: w Warszawie 0,60 guldena, w Poznaniu 0.61, a w Gdańsku 1,44 guldena. Osoby zamieszkujące teren Wolnego Miasta Gdańska w 1929 roku - jak dowiadujemy się z Rocznika Statystycznego - pracowały jako: robotnicy - 22 280, rolnicy i leśnicy - 363, handlowcy - 2 794, pracownicy biurowi i technicy - 4 614 i urzędnicy - 941 osób. Razem czynnych zawodowo było 31 924 osoby. Do pracy w biurze, przemyśle i handlu zatrudniani byli przede wszystkim Niemcy pochodzący z Rzeszy, a Polacy w rolnictwie, ogrodnictwie, leśnictwie, a nade wszystko jako pomoc domowa. Musimy tu pamiętać, że miesięczne uposażenie wynosiło np. w 1924 roku dla najwyższych urzędników od 1000 do 3000 guldenów, a dla robotnika ok. 250 guldenów.

Trzeba także nadmienić, że w tej całej mozaice personalno-zawodowej językiem urzędowym w Wolnym Mieście Gdańsku był język niemiecki, którym w 1923 roku posługiwało się 94,2% mieszkańców. Natomiast językiem niemieckim i polskim mówiło 68,1% mieszkańców, polskim, kaszubskim, mazurskim - 56,4%, rosyjskim, ukraińskim, hebrajskim - 3,8% i innymi - 5,6%.

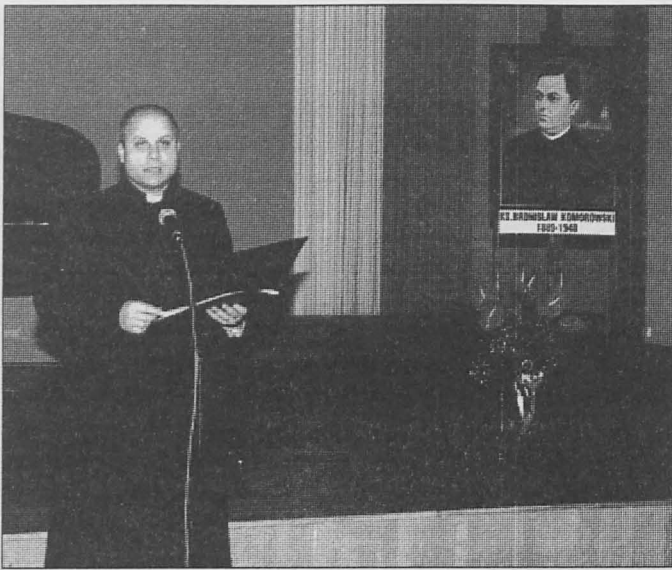
Kolejna cecha charakterystyczna ludności Wolnego Miasta Gdańska, to różne wspólnoty wyznaniowe: protestanci 64, 7%, katolicy 32,65 %, żydzi 1,4 % i inne wyznania 1,3 %. Liczba katolików wynosiła 119 470. W 1919 roku, kiedy ustanowiono Wolne Miasto Gdańsk, w granicach którego znalazły się terytoria należące pod względem kościelnym do diecezji chełmińskiej i warmińskiej, katolicy niemieccy dążyli do tego, by Wolne Miasto Gdańsk zostało włączone do diecezji warmińskiej, której pasterzem był biskup niemiecki, zaś katolicy polscy pragnęli przyłączenia do polskiej diecezji chełmińskiej. Rozstrzygnięcia tych sporów dokonała Stolica Apostolska dekretem *Sanctissimus Dominus* z 24 kwietnia 1922 roku, na mocy którego wszyscy katolicy na obszarze Wolnego Miasta Gdańska zostali wyłączeni spod jurysdykcji biskupa chełmińskiego i warmińskiego, a podporządkowani nowo ustanowionemu Administratorowi Apostolskiemu, którym został biskup Edward ORourke. Natomiast 25 grudnia 1925 roku bullą papieża Piusa XI *Univera Christi fidelium cura* została erygowana diecezja gdańska z prawem egzempcji, czyli podległości wprost Stolicy Apostolskiej. W tym samym dokumencie Stolica Apostolska ustanowiła świątynię pw. Świętej Trójcy w Gdańsku Oliwie kościołem katedralnym.

Mając przed sobą zarysowaną charakterystykę ludności wraz ze strukturami państwowo-kościelnymi Wolnego Miasta Gdańska, zatrzymajmy się na ludności polskiej zamieszkującej ten teren. W chwili powstania Wolnego Miasta Gdańska istniała w nim wielotysięczna grupa Polaków, zamieszkających tu stale i posiadających tradycje polskości swoich rodzin. Szeregi Polonii Gdańskiej zostały wzmocnione w następnych latach, ale dokładne określenie liczby Polaków znajdujących się na tym terenie jest bardzo trudne. Zwłaszcza przy uwzględnieniu faktu,

że przeprowadzone przez władze gdańskie spisy ludności celowo zaniżały stan narodowości polskiej, aby w ten sposób podtrzymać tezę o niemieckim charakterze Gdańska. Analizując spisy ludności w Wolnym Mieście Gdańsku, znajdujemy z jednej strony 9,1%, a z drugiej 22% Polaków w stosunku do ogółu ludności. Najbardziej miarodajnych obliczeń dokonał w okresie międzywojennym Tadeusz Kijeński, co potwierdził ks. Franciszek Rogaczewski w referacie wygłoszonym w czasie pierwszego Synodu Gdańskiego w 1935 roku nt. "Zagadnienia duszpasterstwa ludności polskiej". Niniejszy referat zawierał szereg postulatów dotyczących duszpasterstwa polskiej mniejszości narodowej, która stanowiła około 10 % ogółu ludności Wolnego Miasta Gdańska.

W celu obrony narodowych i kulturowych praw Polacy utworzyli w 1921 roku Gminę Polską, która również miała kierować towarzystwami i organizacjami istniejącymi na terenie Wolnego Miasta Gdańska. W wyniku rozbieżności politycznych powstał w 1933 roku Związek Polaków. Po okresie zatargów i nieporozumień nastąpiła konsolidacja społeczności polskiej, wynikiem której obie organizacje połączyły się w 1937 roku, tworząc Gminę Polską - Związek Polaków, do którego należało prawie 100% polskiej ludności Gdańska. Polacy w Wolnym Mieście Gdańsku posiadali swoje organizacje, związki śpiewacze, stowarzyszenia sportowe i zawodowe, Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki, prasę, szkolnictwo tzw. senackie, utrzymywane przez Senat Gdański, oraz szkolnictwo prywatne, prowadzone przez Macierz Szkolną założoną w 1921





roku. W 1939 roku polskie szkolnictwo w Gdańsku obejmowało 20 ochronek dla dzieci w wieku przedszkolnym, 7 szkół powszechnych, szkołę dokształcającą zawodowo, szkołę średnią, szkołę handlową niższą i wyższą, gimnazjum, konserwatorium muzyczne. W sumie 33 naukowe i wychowawcze zakłady, w których prawie trzy tysiące polskiej młodzieży pobierała naukę w języku polskim, i to na bardzo wysokim poziomie.

Polscy katolicy gromadzili się na terenie Wolnego Miasta Gdańska w ośrodkach religijnych. Ks. Franciszek Rogaczewski zainicjował powstanie pierwszych polskich parafii personalnych w Gdańsku. W tej sprawie pojechał w styczniu 1937 r. do Rzymu, gdzie w obecności kardynała Hlonda i bpa ORourke wręczył memoriał Ojcu Świętemu Piusowi XI. Po życzliwym ustosunkowaniu się Stolicy Apostolskiej, bp Edward ORourke erygował w dniu 7 października 1937 roku dwie polskie parafie personalne przy kościele Chrystusa Króla z ks. Franciszkiem Rogaczewskim jako proboszczem oraz przy kościele św. Stanisława Biskupa, gdzie proboszczem został ks. Bronisław Komorowski. Kim był ks. Komorowski?

Ks. Bronisław urodził się 25 maja 1889 roku w Barłoźnie w powiecie Starogard Gdański w rodzinie chłopskiej. Po maturze, uzyskanej w gimnazjum państwowym w Chełmnie w 1910 r., wstąpił do Seminarium Duchownego w Pelplinie. Świecenia kapłańskie otrzymał 29 marca 1914 roku. Po święceniach pracował jako wikariusz w parafii św. Mikołaja w Łęgowie. W rok później został wikariuszem w parafii św. Mikołaja w Gdańsku, gdzie wygłaszał kazania w języku polskim, uczył historii Polski oraz przygotowywał polskie dzieci do sakramentów świętych. 28 lipca 1924 roku został mianowany kuratorem nowo powstałej placówki duszpasterskiej dla Polaków w Gdańsku Wrzeszczu. Z niezwykłym zapałem przystąpił do przebudowy dawnej ujeżdżalni pruskiej na kościół pw. Św. Stanisława Biskupa. Dzieło to poparli gorąco Polacy mieszkający w Gdańsku, służąc osobistą pomocą, składkami i różnymi ofiarami - mimo, jak wcześniej wspomniano, niższych zarobków. O powszechnej ofiarności Polonii świadczy pismo Komitetu Organizacyjnego Koła Wychowawców i Wychowanków byłego Gimnazjum Polskiego w Gdańsku, skierowane 18 września 1957 roku do Kurii Biskupiej w Gdańsku Oliwie. Czytamy tam w czwartym punkcie: *“Cały wystrój kościoła, aparatura i szaty liturgiczne były owocem licznych ofiar pieniężnych Polonii Gdańskiej i wysiłków gdańszczanek, organizujących na ten cel różne imprezy, haftujących szaty liturgiczne i bieliznę kościelną. Całe wnętrze kościoła było dziełem polskich inżynierów i robotników, którzy*

po pracy ofiarowywali bezinteresownie swój czas i siły w celu jak najszybszego wykończenia kościoła”.

Wokół nowego kościoła szybko skoncentrowało się życie Polaków. Ks. Komorowski zakładał związki, stowarzyszenia religijno-narodowe. Opiekował się również Polakami, którzy studiowali w murach dzisiejszej Politechniki Gdańskiej. Polacy teje *Alma Mater* mieszkali w bursie blisko kościoła św. Stanisława Bpa, w dzisiejszym gmachu Szkoły Podstawowej nr 49. Znaleźli oni również opiekę duszpasterską w momencie, gdy 60 lat temu w lutym 1939 zostali usunięci z Politechniki Gdańskiej. Trzeba również nadmienić, że absolwenci Politechniki Gdańskiej oraz Polonia Gdańska od szeregu lat gromadzi się na Eucharystii w kościele św. Stanisława. W tej też parafii, w której prawie 27 lat gorliwie duszpasterzuje ks. kanonik Andrzej Rurarz, celebrowane są każdego roku w drugą niedzielę maja msze św. za pomordowanych i poległych studentów Politechniki Gdańskiej.

Innymi ośrodkami religijnymi dla Polaków na terenie Wolnego Miasta Gdańska były nie tylko wspomniane wcześniej placówki, ale także m.in.: kaplica MB Częstochowskiej w Nowym Porcie, kościół NMP Gwiazda Morza w Sopocie i kaplica Wniebowzięcia NMP w Sopocie. Msze święte celebrowane w niedziele i święta skupiały dużą liczbę Polaków i pogłębiały więź religijno-patriotyczną. Msze święte z okazji większych świąt kościelnych i narodowych, wraz z uczestnictwem w organizowanych akademiach, pochodach, pokazach chóralnych i sportowych, były zarazem manifestacją polskości na terenie Wolnego Miasta Gdańska. Przy wspomnianych kościołach prowadziły ożywioną działalność religijno-patriotyczną katolickie stowarzyszenia, którą koordynowała Liga Katolicka, założona w 1924 roku, a od 1934 roku Centralny Komitet Katolików Polaków, którego prezesem był ks. Franciszek Rogaczewski. Tak widoczna działalność narodowo-religijna ludności polskiej nie była mile widziana przez ludność niemiecką zamieszkującą na terenie Wolnego Miasta Gdańska. Zwłaszcza od roku 1930, kiedy Albert Forster został przewodniczącym NSDAP w Gdańsku, mnożyły się akcje terrorystyczne, napady na Polaków, zrywanie polskich chorągwi, transparentów, szykany w spr-



wach zatrudnienia Polaków, dyskryminacja polskiego rzemiosła, handlu, szkolnictwa itd. Akcja germanizacyjna wzrastała, aż do wybuchu drugiej wojny światowej.

1 września 1939 roku zostało aresztowanych około 1500 przedstawicieli polskiej inteligencji, działaczy i członków stowarzyszeń religijno-narodowych. Zamknięto polskie kościoły i kaplice, aresztowano kapłanów i przystąpiono do niszczenia polskich modlitełek, śpiewników, ksiąg i dzienników. Wśród aresztowanych 1 września 1939 roku był ks. Bronisław Komorowski. Najpierw przewieziony został do Victoria Schule w Gdańsku, gdzie go dotkliwie pobito, a następnego dnia wraz z innymi aresztowanymi przewieziono do obozu koncentracyjnego Stutthof. Życie w obozie było dla więźniów nie kończąca się męką. W połowie marca 1940 roku ks. Komorowski został przydzielony do tzw. komanda karnego. Jak podają współwięźniowie, z wielką zawziętością odnosili się strażnicy do ks. Bronisława. Tak wspomina współwięzień Roman Belown:

“Starano się zrobić z niego obozowe pośmiewisko przez mianowanie go kapem kolumny roboczej czyszczącej kloaki obozowe. Chciano go przy tym zmusić, aby znecał się nad współwięźniami. Lecz on okazał Chrystusową miłość wobec nich, pomagając najbardziej wycieńczonym, dzieląc się z nimi każdą strawą. Sam maltretowany i okrutnie dręczony, do końca zachował dla wszystkich otwarte serce i uśmiechniętą twarz. Stale podtrzymywał nas na duchu, zachowując postawę prawdziwie polską i kapłańską”.

Kolejny współwięzień, ks. W. Gajdus, tak opowiada o ks. Bronisławie: *“Główną pracą wydobywania fekaliów za pomocą zwykłego wiadra ze zbiornika kloacznego i ładowania ich do basenu wykonywał ks. Bronisław Komorowski. Pytałem go, co odczuwał, pełniąc te niezwykle śmierdzącą funkcję na oczach całego obozu. Uśmiechając się dobrotliwie, odpowiedział tak: Czulem się jak na ambonie na oczach więźniów i dbałem o to, żeby kazanie dobrze wypadło. Myślę, że to były moje najlepsze kazania”.*

W Wielki Czwartek, 21 marca, udało się ks. Komorowskiemu wraz z ks. Góreckim przedostać do baraku, gdzie ks. Bole-

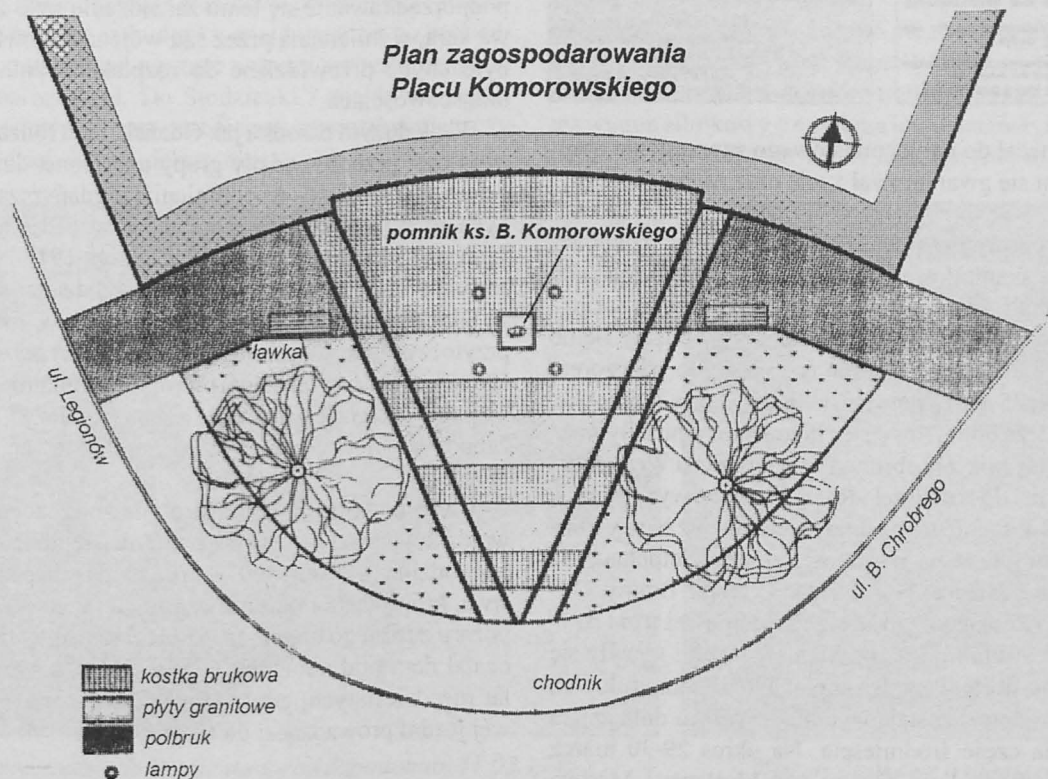
śław Piechowski potajemnie odprawił msze św. Ks. Komorowski przyjął wówczas komunię św. Następnego dnia, 22 marca 1940 roku, w Wielki Piątek, ks. Bronisław został rozstrzelany wraz z liczną grupą Polaków. Po wojnie, w 1947 roku ciała rozstrzelanych w Stutthofie ekshumowano i pogrzebano na cmentarzu zasłużonych, na gdańskiej Zaspie.

Wiadomość o męczeńskiej śmierci ks. Bronisława Komorowskiego bardzo szybko rozpowszechniła się wśród wiernych Polonii Gdańskiej. Od samego początku uważano go za męczennika za wiarę i Ojczyznę - co potwierdzają publikacje okresu powojennego, przedstawiające męczeństwo ks. Komorowskiego. Postać ks. Bronisława żywa jest nie tylko wśród wspólnoty parafii św. Stanisława biskupa w Gdańsku Wrzeszczu, gdzie Sługa Boży ks. Komorowski pracował, ale także w naszym mieście, w którym jeden z placów nosi jego imię. Na tym placu w niedalekiej przyszłości powstanie pomnik ks. Bronisława, a także za kilka miesięcy jedna ze szkół będzie nosić Jego imię.

Osoba Sługi Bożego nie byłaby jednak tak znana, gdyby nie biskupi Kościoła Gdańskiego - począwszy od ks. bpa Edmunda Nowickiego, aż po obecnego wśród nas ks. abpa Tadeusza Gocłowskiego - którzy troszczyli się, by postać ks. Komorowskiego i jego męczeńska śmierć była żywa wśród wiernych Kościoła lokalnego i powszechnego. Ufamy, że osoba ks. Bronisława Komorowskiego jeszcze bardziej będzie znana w Kościele i w świecie poprzez fakt beatyfikacji, której dokona Jan Paweł II. Beatyfikacja 108 polskich męczenników za wiarę, do grona których należy Sługa Boży ks. Bronisław Komorowski, będzie miała miejsce w czerwcu bieżącego roku w Warszawie.

Kończąc - musimy stwierdzić, że czas, w którym żył ks. Bronisław Komorowski, a także wszyscy Polacy na terenie Wolnego Miasta Gdańska, był bardzo trudny, ale dziękujemy im za wzór, który nam pozostawili - wzór wiernej służby Bogu i Ojczyźnie. Dziękuję za uwagę.

Ks. Mirosław Paracki
Kuria Metropolitalna Gdańska
(Wszystkie zdjęcia T. Chmielowiec)



ROK 1945, OSTATNIE DNI MARCA

Druga wojna światowa dobiega końca. Od początku roku 1945, na obu frontach armia hitlerowska pod naporem przeciwników musi się cofać. Na froncie wschodnim III Rzesza stawia nieraz rozpaczliwy opór potężnym zgrupowaniom armii sowieckiej. Mają one zdecydowaną przewagę liczebną, ale górują także posiadanym uzbrojeniem oraz zaopatrzeniem w środki bojowe. Zepchnięte siły niemieckie skupiły się w rejonie Gdyni i Gdańska, tworząc okrężną linię obrony. W tej enklawie, oprócz miejscowej ludności cywilnej, zebrała się ogromna liczba uciekinierów z terenów Prus Wschodnich. Pod względem militarnym sytuacja była katastrofalna.

Przebieg działań bojowych przedstawiam skróto, opierając się na danych zawartych w artykule "Die Schlacht um Danzig 1945", jaki ukazał się w periodyku "Unser Danzig" w roku 1981. Zachodni i południowy odcinek linii obrony w pierwszej połowie marca nie podlegał gwałtownemu naciśkowi, bo Kolbudy zostały zajęte 17 marca, Złota Karczma 23, zaś Emaus i Brentowo dopiero 25. Marszałek Konstanty Rokossowski, dowodzący II Frontem Białoruskim, w dniu 24 marca 1945 wydał odezwę do wojskowych niemieckich, która w postaci ulotek była rozrzucana z samolotów.

Wisłą, co umożliwiała prowadzenie ewakuacji w kierunku wschodnim.

W ten sposób, w ostatnich dniach tego miesiąca, poza linia działań bojowych znalazła się ogromna masa ludności cywilnej. Były to kobiety i dzieci, starcy - ale również mężczyźni w sile wieku, zatrudnieni jako cywilni pracownicy w przedsiębiorstwach ważnych ze względów wojskowych, jak np. stocznie, porty czy koleje. Po zajęciu dzielnic mieszkaniowych rosyjskie władze wojskowe wydały zarządzenie "mobilizacyjne" dla pracowników cywilnych. Tutaj pokazuję kopię takiego "ogłoszenia mobilizacyjnego", która - po wpisaniu brakujących słów - była przeznaczona do rozplakatowania.

Marszałek Rokossowski
an die Garnisonen
von Danzig und Gdingen

Generäle, Offiziere und Soldaten
der 2. deutschen Armee!

Meine Truppen haben gestern am 23. März Zoppel genommen und die eingeschlossene Kräftegruppe in zwei Teile aufgespalten. Die Garnisonen von Danzig und Gdingen sind voneinander getrennt. Unsere Artillerie beschießt die Häfen von Danzig und Gdingen und die Einfahrten zu denselben. Der eiserne Ring meiner Truppen um Euch verengt sich immer mehr.

Unter diesen Umständen ist Euer Widerstand sinnlos und wird nur zu Eurem Untergang sowie zum Untergang von Hunderttausenden Frauen, Kindern und Greisen führen.

Ich fordere Euch auf:

1. Unverzüglich den Widerstand einzustellen und Euch mit weissen Fahnen einzeln, gruppenweise, kompanie-, battalions- und regimentenweise kapitulieren zu lassen.
2. Alles, was sich gefangen geben, garantieren ich das Leben und die Belassung des persönlichen Eigentums.

Alle Offiziere und Soldaten, die die Waffen nicht strecken, werden bei dem bevorstehenden Sturm verurteilt.

Euch wird die volle Verantwortung für die Opfer der Zivilbevölkerung treffen.

Die Befehlsstelle der Truppen der 2. Bjalorusischen Front
Marschall der Sowjetunion
24. März 1945.
K. Rokossowski

Маршал РОКОССОВСКИЙ
И ГАРНИЗОНАМ
Данцига и Гдыни

Генералы, офицеры и солдаты
2-й немецкой армии!

Моя армия вчера, 23 марта, разбила вашу разрозненную группировку в два отряда. Гарнизоны Данцига и Гдыни отрезаны друг от друга. Наша артиллерия обстреливает порты Данцига и Гдыни и подходы к ним с моря. Железнодорожные кольца моего войска все теснее смыкаются вокруг вас.

В этих обстоятельствах ваша борьба бессмысленна и приведет только к гибели сотен тысяч женщин, детей и стариков.

Я предлагаю вам:

1. Немедленно прекратить сопротивление и с белыми флагами в знак капитуляции выдаться в плен.
2. Всем гарантирую жизнь и сохранение личного имущества.

Все офицеры и солдаты, которые не сложат оружие, будут убиты при наступлении штурма.

Вся ответственность за гибель гражданского населения ляжет на вас самих, господа.

Командующий войсками
2-го Белорусского фронта
Маршал Советского Союза
К. РОКОССОВСКИЙ
24 марта 1945 г.

BEFEHL
des Ortskommandanten

Nr. _____ den _____ 1945

Das Kommando der Truppe der 2. Bjalorusischen Front hat die Mobilisation der gesamten deutschen männlichen Bevölkerung in dem von den Truppen der Roten Armee besetzten Gebiet im Alter von 17 bis 50 Jahren angeordnet.

Ich befehle:

1. Die gesamte deutsche männliche Bevölkerung im Alter von 17 bis 50 Jahren, die sich in dem von den Truppen der Roten Armee besetzten Gebiet befindet, hat sich mobilisationsfähig von _____ bis _____ 1945 zu melden.
2. Bei der Meldung der der Sammelorte nach unten der Mobilisationsorte eine Uniform Winter- und Sommerbekleidung, Schuhwerk, nicht weniger als zwei Gerichten Unterwäsche, Bettwäsche (Decke, Laken, Strohschicht) und Kissenbezüge, Gegenstände des täglichen Gebrauchs (Eggschaber) sowie einen Mundvorrat für mindestens 15 Tage bei sich haben.
3. Personen, die zur festgesetzten Zeit und am festgelegten Ort nicht erscheinen und damit dem Mobilisationsbefehl nicht nachkommen, werden fürs Kriegsgesetz gestellt und mit aller Härte der Kriegsgesetz abgeurteilt.

Der Ortskommandant

ПРИКАЗ
Военного коменданта

№ _____ 1945 г.

Командование войсками 2-го Белорусского фронта приказало объявить мобилизацию всего мужского гражданского населения на территории, занятой частями Красной Армии, в возрасте от 17 до 50 лет.

Приказываю:

1. Всему мужскому населению указанного, проживающему на занятой частями Красной Армии территории _____ в возрасте от 17 до 50 лет, явиться _____ 1945 года явиться по мобилизации на _____ пункт _____.
2. При явке иметь при себе: зимнюю и летнюю одежду, обувь, нижнее белье, постельные принадлежности (спальные мешки, простыни, тюфячки и подушечные наволочки), предметы личного обихода (чашки и столовая посуда), а также запас продовольствия не менее чем на 15 дней.
3. Лица, не явившиеся по мобилизации в указанный срок и места, будут переданы суду Военного Трибунала со всеми строгостями Военного вранка.

Военный комендант.

Tekst ten zachęcał do natychmiastowego zaprzestania obrony, a poddającym się gwarantował życie oraz zachowanie prywatnego mienia.

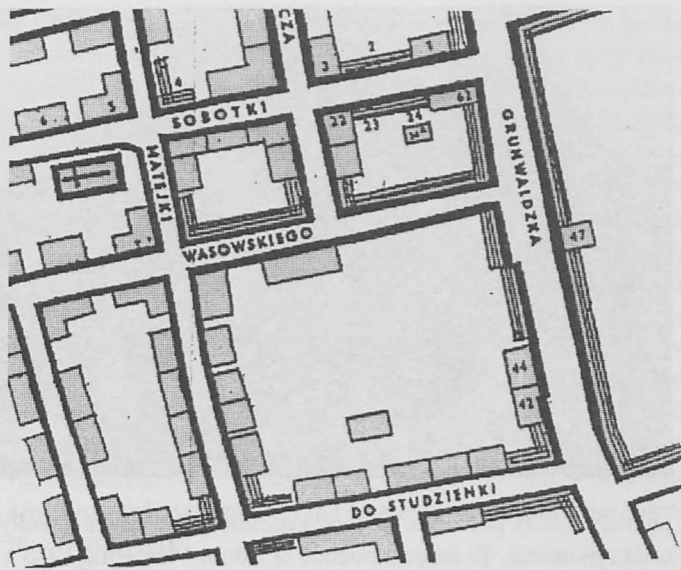
Okrazone zgrupowanie niemieckie, mimo beznadziejności swej sytuacji, nie skapitulowało; także poszczególni wojskowi oporu nie zaniechali, bo groziło to natychmiastową egzekucją dezertera. Walki trwały więc nadal i stopniowo zbliżały się do centrum Gdańska Po zajęciu Sopotu (co nastąpiło wieczorem 23 marca) - w dniu 25 marca rano Rosjanie byli już w Jelitkowie, a wieczorem w Brzeźnie. Oliwę siły niemieckie opuściły nocą 24/25 marca i zajęły pozycję obronną na pograniczu Wrzeszcza, opartą o nasyp kolei do Kokoszek. Rano 27 marca wycofano się z Wrzeszcza, a w południe tegoż dnia zajęty był już Nowy Port. Nowa linia oporu biegła na wysokości stoczni Schichau, ale mniejsze jednostki radzieckie dotarły do rejonu Bramy Oliwskiej i Dworca Głównego. Od strony południowej front również zbliżył do centrum miasta, bo 28 marca walki toczyły się na Oruni i węzeł obrony na Biskupiej Górze skapitulował; załoga z Góry Gradowej została wycofana. W tym dniu zajęta została zachodnia część śródmieścia. Na okres 29-30 marca przejściowo utworzono linię obrony nad Motławą i Martwą

Wszyscy mężczyźni w wieku od 17 do 50 lat mieli stawić się w wyznaczonych punktach zbornych, przynosząc ze sobą komplet ubrania na zimę i na lato, obuwie, bieliznę osobistą i pościelową, a także "przybory codzienne". Oprócz tego mieli być zaopatrzeni w racje żywnościowe na minimum 19 dni. Niepodporządkowanie się temu zarządzeniu było zagrożone surową karą, wymierzaną przez sąd wojenny. Obwieszczenie takie było chyba przewidziane do rozplakatowania w mniejszych miejscowościach.

W tak dużym ośrodku jak Gdańsk, tego rodzaju "mobilizację cywilów" przeprowadziły grupy uzbrojone, działające za linią frontu. Z relacji we wspomnieniach gdańszczan, zamieszczonych np. w publikacji Horsta Ponczeka "SPURENSUCH... Die Wahrheit über den Untergang Danzigs 1945" (wydanej przez autora w 1996 r.), widać wyraźnie styl działania takich patroli.

Dla lepszego zobrazowania sytuacji w roku 1945 warto przytoczyć plan centralnego fragmentu Wrzeszcza, gdzie obiekty zniszczone oznaczono potrójnymi liniami. Wygląd miasta mocno wrył mi się w pamięć i trzeba zaznaczyć, że spustoszenia zabudowy nie były wynikiem bombardowań, lecz skutkami pożarów.

Warto podkreślić, iż obustronnie zniszczone odcinki Grunwaldzkiej tworzyły centrum handlowe tej dzielnicy. Zabudowa pochodziła z okresu 1890 - 1910 i miała taki poziom wykonawstwa, który znakomicie zabezpieczał przed przenoszeniem się pożaru z jednego budynku na obiekt sąsiedni. Tak to wśród ruin ocalał dom pod numerem 47; został on rozebrany pod koniec lat pięćdziesiątych, gdyż uniemożliwiał przeprowadzenie nowej jezdni prowadzącej do Gdyni.



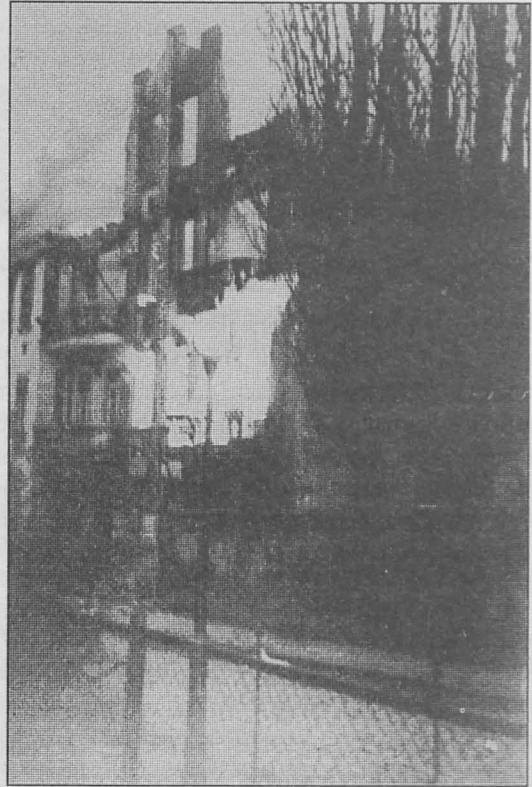
W drugim wydaniu broszury "SPUREINSUCHE..." przytoczone zostały cytaty z odpowiedzi, udzielonych Horstowi Ponczekowi przez świadków wydarzeń z roku 1945. Oto część wypowiedzi świadka, Ingeborg Schuster, która podaje następujący fakt:

"W roku 1945 mieszkałam we Wrzeszczu, przy Heiligenbrunnerweg 46. ... W dniu 27 marca Rosjanie weszli do Wrzeszcza. Dnia 28 marca, gdy przypadkowo jeden z mieszkańców wyszedł na ulicę, zobaczył, że poddasze płonie. Podpalili je Rosjanie. Nieświadomi siedzieliśmy w piwnicy; następnie uciekliśmy do lasu przy Jaśkowej Dolinie..."

Za niemieckich czasów ulica Do Studzienki nosiła nazwę "Heiligenbrunnerweg". Ówczesne numery domów odpowiadały układowi zawracającemu. Przy skrzyżowaniu z Grunwaldzką na pierzei północnej był początek numeracji, zaś na pierzei południowej - jej koniec. Idąc od rogu Politechnicznej w stronę Grunwaldzkiej, mija się po stronie południowej dom o obecnym numerze "2"; za czasów niemieckich miał on numer "45". Spalone domy "46" i "47" nie zostały odbudowane.

Warto jest uważnie oglądnąć zabudowę będącą temo pokazanej fotografii. Stanowią ją budynki, znajdujące się po zachodniej stronie Grunwaldzkiej, noszące numery parzyste. Spalony dom stanowił narożnik ul. Do Studzienki i znajdował się na posesji nr 38. Za nim widoczny jest niezniszczony dwupiętrowy dom "Grunwaldzka 40", a dalsze obiekty są również niezle

widoczne. Ich wygląd dokładnie odpowiada temu, co i dziś istnieje. Narożnik ul. Do Studzienki tworzy teraz budynek z lat pięćdziesiątych, mający adres Grunwaldzka nr 40, a wzniesiony na dwu parcelach: "38" i "40". Według moich wspomnień z jesieni 1945 r. - wypalone ruiny znajdowały się na obu tych parcelach! Oznacza to, że dawny obiekt "Grunwaldzka 40" został spalony dopiero po ustaniu działań bojowych.



Powyższa fotografia pokazuje pożar, który strawił dom mieszkalny przy Politechnicznej 2; sąsiedni budynek Politechniczna 2A nie został podpalony, więc do dziś jest zamieszkały. Z mojej analizy wynika, że pożar ten nastąpił dnia 1 kwietnia 1945 r.

Internowanych prowadzono przez Aleję Zwycięstwa, gdzie na torze prowadzącym w stronę Wrzeszcza stał długi łańcuch unieruchomionych wagonów tramwajowych. Wśród nich stał też wygon silnikowy o numerze inwentarzowym 252, widoczny na poniższym zdjęciu. Na ścianie bocznej miał wymalowane



Cywile konwojowani do więzienia (prawdopodobnie 31.03.1945 r.)

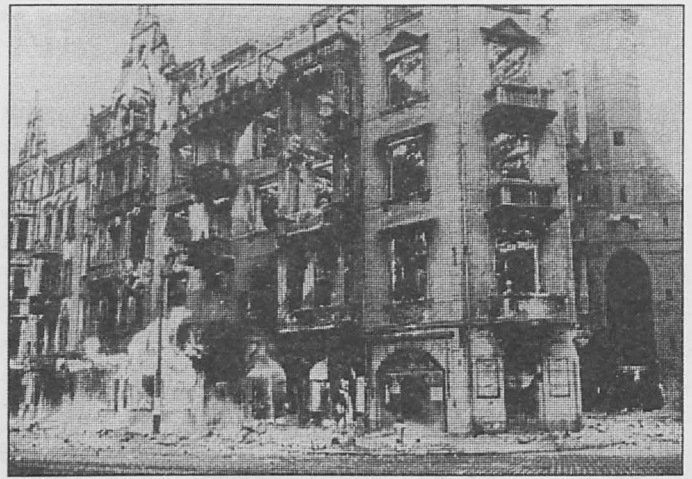


Wagon silnikowy o numerze inw. 252



hasło "Ohne Kampf - kein Sieg", tj. "Bez walki nie ma zwycięstwa".

Po dojściu do Bramy Oliwskiej konwój internowanych skierowano w ulicę 3 Maja. Z ul. Hucisko nie było dojścia do więzienia przy Nowych Ogrodach, gdyż most nad torami kolejowymi był wysadzony. Z ul. 3 Maja dobrze było widać, jak wzniecone pożary niszczyły kościół św. Elżbiety i budynek hotelowy, stojący przy Podwalu Grodzkim. Koło wejścia do kościoła jest teraz wolna przestrzeń. Inne hotele (a było ich przy



tej ulicy kilka), położone dalej od kościoła, już wcześniej padły ofiarą płomieni. Te zdjęcia pochodzą z dnia 1 kwietnia 1945 r.

Internowanych zamknięto w więzieniu, gdyż sądy i budynki przyległe nie były spalone. Po kilku dniach jeńców uformowano w kolumny i pieszo prowadzone do obozu w Grudziądzu. Część internowanych wywieziono do ZSRR lub na tereny Prus Wschodnich.

*Jerzy Sawicki
Wydział Elektryczny*

13 lutego 1999 r. w auli Gmachu Głównego Politechniki Gdańskiej odbyła się uroczysta sesja poświęcona 75. rocznicy żeglarstwa akademickiego na Wybrzeżu Gdańskim. Pani komandor AKM Gdańsk, Dorota Rogozińska, wygłosiła niżej publikowany referat, opracowany przez Wojtkę Hrynkiwicza na podstawie materiałów udostępnionych przez kpt. Zbigniewa Szpetulskiego oraz ustnych relacji członków Klubu.

75 lat żeglarstwa akademickiego na Wybrzeżu Gdańskim

Dzieje

"Pomimo prawnych, rzeczowych i finansowych trudności rozwój Akademickiego Związku Morskiego był tak dynamiczny, że pod koniec okresu międzywojennego Związek ten skupił około jednej trzeciej potencjału polskiego ruchu żeglarskiego" podsumował jego przedwojenny dorobek w "Dziejach żeglarstwa polskiego" Włodzimierz Głowacki, żeglarz - pisarz, również zresztą członek warszawskiego oddziału AZM. Dzięki publikacjom Głowackiego przedwojenny dorobek nie tylko akademickiego żeglarstwa w Polsce jest powszechnie znany. O powojennych osiągnięciach gdańskich żeglarzy akademickich traktuje opracowanie Zbigniewa Szpetulskiego, zatytułowane "50 lat żeglarstwa akademickiego w Gdańsku" z 1971 r.

Odnajmy więc tylko, iż pierwsza akademicka sekcja żeglarska powstała przy Politechnice Gdańskiej w 1924 r. z inicjatywy Jana Bartoszczyka. Pierwszym jachtem był zaś s/y "Witold", ofiarowany studentom przez Witolda Wańkowicza.

Jan Bartoszczyk był również autorem koncepcji powołania ogólnopolskiego Akademickiego Związku Morskiego, co stało się faktem w 1931 r. Do dwóch powstałych jeszcze w tym roku oddziałów w Gdańsku i Warszawie, wkrótce dołączają kolejne: w Wilnie, Poznaniu, Krakowie i Lwowie.

Wojna. Już w 1945 r. studenci organizujących się dopiero gdańskich uczelni kontynuują działalność AZM. Decyzją ów-

czesnych władz zostaje on rozwiązany w niespełna cztery lata później, co stało się zresztą losem wszystkich organizacji o przedwojennym rodowodzie.

Do 1956 r. działa intensywnie sekcja żeglarska AZS przy Politechnice Gdańskiej; jej działalność ograniczała się do letnich pływów po śródlądziu i zimowego latania na bojerach. Na początku 1957 r. sekcja przekształcona zostaje w Klub Morski AZS przy Politechnice Gdańskiej, z którego wyłania się w 1965 r. Akademicki Klub Morski AZS i ZSP. W roku 1995, po uzyskaniu osobowości prawnej, Klub otrzymuje obecną nazwę: Akademicki Klub Morski. Nadmienić trzeba, iż w 1969 r. powstaje przy Wyższej Szkole Morskiej, z inicjatywy Zbigniewa Szpetulskiego, oddział Klubu w Gdyni.

Miejsca

Pierwsza przystań akademickich żeglarzy mieściła się w Gdańsku, na prawym brzegu Martwej Wisły pomiędzy Twierdzą Wisłoujście a Westerplatte; przeniesiono ją później do fosy Twierdzy. Od 1933 r. co roku organizowane były obozy żeglarskie w Jastarni. W ten sposób z możliwości pływów morskich mogli korzystać studenci-żeglarze z ośrodków centralnej i południowej Polski. Warto w tym miejscu dodać, iż obecność akademików w Jastarni zdopingowała władze do wyasygnowania środków na budowę ośrodka żeglarskiego z prawdziwego zdarzenia, którego plany istniały już od 1927 r.

Wisłoujście, Pleniewo, Górki Zachodnie. Tam mieściły się kolejno powojenne siedziby Klubu. Te trzy miejsca łączy zbliżona odległość dzieląca je od centrum miasta. Obecnie samochodem przebyć można tę drogę w pół godziny. Wtedy zaś, kilkadziesiąt lat wcześniej, studenci zdani byli na łaskę i niełaskę tramwajów i autobusów. Wielu z nich poza studiowaniem - pracowało zawodowo, zdobywając środki na utrzymanie. W miejscu zaś, do którego dociera autobus - widnieje plansza: AKM -1700 m, prawie dwa kilometry. Tę drogę trzeba było przebyć pieszo. Podaję to, by uzmysłowić współczesnym, z jakim trudem i kosztem ilu wyrzeczeń wielu tysięcy studentów powstawały kolejne siedziby obecnego AKM. Bo najpierw trzeba było je postawić, wobec czego samo przygotowanie drewnianych kadłubów do pływania wydawało się już dziecinną błahostką, choć wtedy nie było - jak obecnie - narzędzi elektrycznych, szlifierkami były stalowe skrobaki, papier ścierny i własne ręce.

W Pleniewie, wzorem przedwojennych obozów w Jastarni - szkoliła się żeglarska akademicka z całej Polski. W 1967 r. następują przenosiny na nowy teren - w Górkach Zachodnich, tuż obok wyjścia na Zatokę Gdańską.

Wielu sądzi, iż jest to najbardziej malowniczo zlokalizowany klub żeglarski w kraju. W drugiej połowie lat 70. do siedziby AKM przytula się sekcja żeglarska gdańskiej AWF.

Ludzie

Wobec tego, co powyżej, trudno wymienić jedynie kilka - kilkanaście nazwisk, by nie urazić - tysięcy. Tym bardziej, iż właśnie ci "bezimienni", stanowią obecnie elity nie tylko Wybrzeża i nie tylko polskiego żeglarstwa. Tym bardziej, iż nie ma w kraju klubu, któremu i którego członkom żeglarstwo polskie więcej mogłoby zawdzięczać.

Krystyna Chojnowska-Liskiewicz - Pierwsza Dama nie tylko polskiego żeglarstwa, pierwsza kobieta, która opłynęła świat; wymieniana we wszystkich zagranicznych encyklopediach żeglarstwa, często jako jedyna przedstawicielka Polski.

Włodzimierz Głowacki - autor nie tylko "Dziejów żeglarstwa polskiego", do dzisiaj powszechnie znanej wśród wszystkich żeglarzy piosenki "Chłopcy, ahój", ale i wielu książek, w tym podręcznika "Sternik morski i śródlądowy", z której uczyły się od 1952 r. tysiące przyszłych sterników jachtowych i jachtowych sterników morskich; jachtowy kapitan żegluga wielkiej, sędzia regatowy, pierwszy redaktor naczelny ukazującego się do dzisiaj miesięcznika "Żagle".

Juliusz Sieradzki - konstruktor legendarnej "Omegi", na której kształcą się, wypoczywają i regacą od ponad 50 lat, no właśnie - ile: setki, tysiące, miliony? Całe pokolenia polskich żeglarzy.

Alojzy Ramczykowski - budowniczy dziesiątków jachtów rzadkiej piękności.

Aleksander Bereśniewicz i *Zbigniew Szpetulski* - nauczyciele akademicy; spod ich "ręki" wyszły tysiące obecnych żeglarzy i parę dziesiątków kapitanów. Wobec powyższego umyka fakt, że Szpetulski był pierwszym polskim żeglarskim medalistą (1957 - wicemistrz Europy w "Latających Holendrach"), wielokrotnym bojerowym mistrzem i wicemistrzem Polski (kl. XV), któremu start na Olimpiadzie w Neapolu uniemożliwił ciężki wypadek, paraliż i długa rekonwalescencja. Aleksander Bereśniewicz zaś, dowodzący studenckimi morskimi rejsami od przedwojnia, przegrał przed regatami samotników przez Atlantyk OSTAR 1972 - wyścig o "Poloneza", choć konieczne minimum 600 Mm wykonał na Bałtyku zimą w ciągłym sztor-

mie. Argument komisji kwalifikacyjnej: podeszły wiek - nie przeszkodził Bereśniewiczowi przez wiele jeszcze lat dowodzić studenckimi wyprawami, w tym i do Szkocji, i na Wyspy Owcze, i na Islandię.

Ryszard Rutkowski - niestrudzony propagator żeglarstwa sportowego, o wyjątkowym darze kontaktu z młodzieżą.

Waldemar Piasecki - ceniony trener żeglarstwa i organizator sekcji sportowej, komandor ds. sportu.

Lechosław Borkowski - opiekun młodzieży, mistrz Polski juniorów w klasie Omega, wieloletni kierownik przystani.

Bogusław Sakowicz - wieloletni skarbnik, niezastąpiony w pozyskiwaniu środków finansowych dla Klubu.

Roman Szadziwski - urzędujący komandor Klubu, wspaniały zawodnik i prężny organizator.

Daniela Degórska - przez wiele lat prowadziła w sposób niezwykle zaangażowany biuro Klubu.

Piotr Adamowicz - niewiele klubów szczyci się taką liczbą trofeów, które wywalczył ten jeden człowiek - zwycięzca ponad sześćdziesięciu regat morskich w kl.1/4 tony.

Jerzy Cofojew - jeden z laureatów nagrody Rejs Roku za wyprawę "Probussem" do Islandii.

Andrzej Urbańczyk - ten od wyprawy pierwszym "Nordem" - tratwą przez Bałtyk, po rozliczne rejsy na jachtach, opatrzonych tą samą nazwą, przez morza i oceany, z okrażeniem globu włącznie.

Oto klamra, która spina dorobek AKM. Dwa nazwiska. Krystyna Chojnowska-Liskiewicz i Andrzej Urbańczyk. Osoby, dzięki którym głośno o polskich żeglarzach od wielu lat.

To tyle? Nie, to tylko przykłady. Przykłady, jakiego formatu żeglarze wyrastali w Akademickim Klubie Morskim. Nie ma chyba w Polsce klubu, w którym pierwszych skrzypiec nie graliby kapitanowie-wychowankowie AKM. Wiadomo: koń-



czyli studia, rozjeżdżali się po kraju i włączali się w żeglarstwo w nowym miejscu zamieszkania, bądź je od podstaw tworzyli.

"Bezimiennymi" pozostają setki obecnych "osób publicznych": pracowników naukowych wyższych uczelni i instytutów badawczych, inżynierów, lekarzy, intelektualistów, polityków, prawników, pisarzy, poetów, aktorów, dziennikarzy, menedżerów, którzy tu, w AKM, zarazili się morzem, któremu pozostali wierni, choć nie związali się z nim na zawsze.

"Bezimiennymi" pozostają ci wszyscy, dzięki którym AKM stał się takim klubem, jakim był przez ubiegłe 75 lat.

AKM wykształcił:

- ponad 300 kapitanów jachtowych,
- ponad 700 sterników morskich,
- ponad 1 500 sterników jachtowych.

Pokażcie - choćby pod tym jednym względem - drugi taki klub w Polsce!

Już teraz zapraszamy na otwarcie kolejnego sezonu żeglarskiego w AKM: spotkacie tam Państwo tych powszechnie znanych, jak i osoby "bezimienne". Jak choćby kpt. Zbigniew Rudnicki, Sybirak, uwięziony w trakcie studiów za organizowanie nielegalnych manifestacji, bosman Wisłoujścia, który ślubował, że brodeń zgoli wówczas, gdy wypłynie na morze. Jako "niepewny politycznie" paręnaście lat zabiegał w ten sposób u "władzy ludowej" o prawo do tego, co dzisiaj wydaje się oczywistością. Jak choćby Kazimierz Normant, trener, wychowawca wielu czołowych zawodników Klubu i Polski; wraz w Henrykiem Kalinowskim nadzorował budowę ośrodka w Górkach. Jak choćby kpt. Jan Wagner, brat Władysława, tego od "Zjawy", który na swoim 70-letnim s/y "Rubicon" wychował siedmioro dzieci i osiemnaścioro wnuków: każde ma jakiś patent żeglarski...

Pochylmy na chwilę głowy w modlitwie nad wszystkimi tymi, których dzisiaj już nie ma wśród nas. Nad Janem Bartoszczykiem - poległ pod Rumią w 1939 r. Nad prawie setką żeglarzy - akademików poległych we Wrześniu, w Powstaniu, na polach bitew II wojny, ściętych w Berlinie, zamęczonych w obozach koncentracyjnych. Nad załogami "Pośwista" i "Janosika". Nad wszystkimi, dla których morze stało się grobem. Nad Zbigniewem Szpetulskim, inicjatorem, "duszą" tego spotkania, w którym nie danym było Mu uczestniczyć. Nad wszystkimi tymi, których już nie ma wśród nas.

Wyczyn

1957 r. - "Szkwał II" pod kpt. Wojciechem Samolińskim odnosi podwójne zwycięstwo w regatach "Ostseewoche". Później nie tylko w tych regatach zwyciężają na "Szkwale": Jettmar, Grablis, Szymański.

1958 r. - "Ewa" pod kpt. Aleksandrem Bereńiewiczem wygrywa regaty Ostseewoche, dochodzi do mety w sztormo-

wym piekle jako jedyny z 26 jachtów, choć była wśród nich najmniejsza.

1967 r. - "Swarożyc III" pod kpt. Wacławem Liskiewiczem osiąga Spitsbergen, jako pierwszy jacht w historii żeglarstwa.

1984 r. - "Jan z Kolna" pod kpt. Zbigniewem Szpetulskim zwycięża oba etapy atlantyckich regat na trasie Saint Malo - Bermudy - Halifax.

Spośród wielu złotych medalistów mistrzostw Polski wymienimy tylko tych, którzy w swoim dorobku mają ich najwięcej:

Stanisław Sawko - 9 (Hornet, Latający Holender)

Piotr Adamowicz - 7 (1/4 tony)

Krzysztof Zawalski - 7 (Cadet, 420, Tornado)

Jacek Jettmar - 2 (jachty morskie RORC)

Powrót do źródeł

Pierwszym pełnomorskim jachtem, z którego korzystali akademicy, był s/y "Witold", stanowiący własność Witolda Wańkowicza. Akademicki Klub Morski funkcjonuje obecnie li tylko dzięki bezinteresownej, tzw. społecznej pracy członków Klubu. Jak niegdyś. Jak przed siedemdziesięciu pięciu laty. To - wbrew pozorom - dobry znak, dający dobre perspektywy. Wszak armatorzy "Temi" i "Antiki" przyczynili Klubowi splendoru, okrążając ziemię na jachtach zbudowanych przez siebie, za własne pieniądze; tylko oni wiedzą, jakim odbyło się to, nie tylko materialnym - kosztem. Jak dobre będą więc perspektywy Klubu? Zależy to od wielu ludzi. Nade wszystko zaś od pp. Liskiewiczów, Kmitów, Jerzego Wąsowicza, Piotra Adamowicza - by wymienić jedynie tych najbardziej czynnych. Tylko oni wiedzą, jak przekuć pasję w czyn. Dzisiaj oni są Wieleżyńskimi, Czarnowskimi, Zaruskimi, Bereńiewiczami, Szpetulskimi dla tej młodzieży: kilku-, kilkunastoletnich chłopców i dziewcząt, trenowanych tuż obok, w sekcji żeglarskiej AZS AWF, z uporem godnym lepszej sprawy przez państwa Aldonę i Krzysztofa Zawalskich. Może te dzieciaki porzucą wkrótce swoje "optymistki" i "lequipy" i zapatrzą się w bohaterów komputerowych gier? Nie. Wierzę, wiem, wszyscy wiemy, że tak się nie stanie, że tak się stać nie może, bo wówczas nie byłoby przecież polskiego morskiego żeglarstwa. W zamierzeniu obecnych działaczy Akademickiego Klubu Morskiego i Zarządu Głównego AZS żeglarskie sekcje uczelniane powinny wrócić tu, do Górek. Już stacjonuje w gdańskiej przystani Łódzki AKŻ, lada dzień mieć tu będzie "metę" AKŻ z Wrocławia; oby za ich przykładem poszły pozostałe...

"Nad monografią polskiego Akademickiego Klubu Morskiego pracuje kpt. Zbigniew Szpetulski. Będzie on wdzięczny za udostępnienie fotografii, dokumentów, opracowań wspomnieniowych, relacji mających związek z historią Klubu"... - tymi słowami miał kończyć się ten tekst.

Zbyszek tej monografii już nie dokończy. Jego gdyńscy przyjaciele nad grobem Zbyszka obiecali utrzymać Jego ukochanego. s/y "Josepha Conrada", którego Zbyszek utrzymywał ostatnimi czasy za własne pieniądze, choć nie był to przecie jacht Jego, a Klubu. My, jego gdańscy przyjaciele, obiecujemy dokończyć monografię Akademickiego Klubu Morskiego, nad którą Zbyszek pracował do swych ostatnich dni, i wydać ją drukiem. Dlatego zwracamy się z prośbą do akademickich żeglarzy z całej Polski o nadsyłanie fotografii, kopii dokumentów, relacji, wspomnień, informacji (nawet tych, które wydają się blahe) pod adresem: Teresa Chojnacka-Szpetulska, 81-460 Gdańsk, ul. Pilotów 13G/13.

*

Gdańscy żeglarze Akademickiego Klubu Morskiego, którzy opłynęli świat:

- ♦ **Krystyna Chojnowska-Liskiewicz** - s/y "MAZUREK"
- ♦ **Wiesław Rakowski** z załogą: J. Nadolny-Zachwato-wicz, R. Parchocewicz, M. Lamparski, J. Jerzman, J. Bulkowski, G. Gepert, Z. Sitarz, M. Gosienicki - s/y "WOJEWODA POMORSKI"
- ♦ **Jerzy Wąsowicz i Andrzej Sochaj** - s/y "ANTICA"
- ♦ **Małgorzata i Wojciech Kmitowie** - s/y "TEMI"

LISTY DO REDAKCJI

Zespół Redakcyjny PISMA PG

Szanowna Redakcjo!

Wspomnienia z "dawniejszych lat" nie zawsze wiązały się z wydarzeniami miłymi i przyjemnymi. Były też smutne i tragiczne. Do takich należał najtragiczniejszy wypadek żeglarski, jaki wydarzył się na Wybrzeżu. Tym bardziej jest on wart przypomnienia, gdyż dotyczył środowiska Politechniki Gdańskiej, w której po wojnie odrodził się sport żeglarski w oparciu o Akademicki Związek Morski.

Przed 50 laty prasa szeroko rozpisywała się na temat tej katastrofy. Wiele publikacji było kłamliwych i krzywdzących żeglarzy AZM-u. Przodowały w tym dzienniki centralne. Załączam tylko niektóre wycinki prasowe, bardziej wyważone i zgodniejsze z przebiegiem wydarzeń. Ostatecznie nie wyjaśniono jednoznacznie przyczyn katastrofy, jaką było "samoczynne" odpadnięcie falszki od jachtu POŚWIST. Tworzono różne hipotezy, ale żadnej z nich w tym czasie nie można było dostatecznie wyjaśnić.

Przekazuję również do publikacji zdjęcia jachtu POŚWIST i najtragiczniejszej uczestniczki załogi, zrobione na kilka dni przed katastrofą. Proponuję w proponowanym tekście wspomnień wykorzystać również same tytuły załączonych artykułów prasowych.

Z serdecznym pozdrowieniem

mgr inż. Jan Jabłoński

Warszawa, 22 lutego 1999 r.

W 50 LAT PO TRAGEDII JACHTU "POŚWIST" NA ZATOCE GDAŃSKIEJ

W pierwszym okresie powojennym inicjatorem sportu żeglarskiego dla licznej rzeszy akademickiej z całego kraju był Akademicki Związek Morski, którego kontynuacją na Wybrzeżu zajęli się prawie wyłącznie studenci z Politechniki Gdańskiej.

W lipcu 1948 r. zakończył się jeden z pierwszych obozów żeglarskich, zorganizowany przez AZM w bezpośrednim sąsiedztwie zabytkowej gdańskiej twierdzy "Wisłoujście".

We wspomnianym obozie brali udział studenci prawie że ze wszystkich ówczesnych ośrodków akademickich. Po zakończeniu rejsów szkoleniowych większość z nich pospiesznie pakowała się i wyjeżdżała do swoich domów.

Zakończyły się obozowe dni i noce wypełnione rejsami szkoleniowymi i wspaniałą niepowtarzalną atmosferą żeglarską. Dało to zawiązanie wielu przyjaźni i planowanie przyszłych wspólnych rejsów.

Nie spieszyłem się z opuszczeniem obozu, gdyż chciałem pozostać jeszcze dwa, trzy dni z przyjaciółmi. Zaistniała możliwość odbycia kilku dodatkowych pływów. Jako współorganizator obozu byłem zobowiązany do przygotowania sprzętu żeglarskiego na następny turnus żeglarski, o ile pamiętam rozpoczynający się po 3 sierpnia. Ze mną pozostała część entuzjastów żeglarstwa, którzy w przerwie między turnusami chcieli odbyć też dodatkowe, przyjemnościowe rejsy po Zatoce. Pobyt mój mogłem jedynie przedłużyć do 3 sierpnia, gdyż już 5 sierpnia rozpoczynałem w Hucie Florian w Świętochłowicach wakacyjną praktykę, a w drodze na Śląsk chciałem koniecznie odwiedzić moją Matkę w Toruniu.

Szkolenie żeglarskie odbywało się na jachtach: SWAROŻYC II, SZKWAŁ II, POŚWIST i jeszcze na jednej, najmniejszej jednostce jachtowej. Kierownictwo obozu zezwoliło na odbycie pożegnalnych rejsów na jachcie POŚWIST, gdyż nie wymagał on zbyt wielu zabiegów bosmańskich dla następnego turnusu szkoleniowego.

Jacht POŚWIST był poniemieckim spadkiem, typowym "blaszakiem" o pow. żagli 37 m², i - o ile pamiętam - zbudowanym jeszcze w 1914 r. w stoczni niemieckiej. Odbyłem na nim wiele rejsów. Był jachtem dobrze sterownym, choć pływających denerwowało "dzwonienie" bryzgów fal o stalowe burty jachtu.

Dla POŚWISTU z pozostających żeglarzy skompletowano dwie czy też trzy załogi pływające na przemian. Ostatni rejs naszej załogi miał się rozpocząć wieczorem 3 sierpnia. Załogę stanowił sternik Jerzy Kawalkowski lat 25, student Wydziału Elektrycznego Politechniki Gdańskiej, zwany przez nas przyjaźnie "Kawałkiem", Wanda Biernacka lat 22, z uwagi na swą urodę i zgrabną figurę ochrzczona mianem "Syreny", Magdalena Zakrzewska lat 23 i Anna Potulicka - cała trójka z Uniwersytetu Warszawskiego, oraz ja, dla którego ten rejs miał symboliczne znaczenie przed koniecznością odbycia miesięcznej praktyki w zadymionym Śląsku.



Uśmiechnięta i pełna życia dziewczyna - pierwsza na bomie - to śp. Wandzia Biernacka

Z Wandzią Biernacką umówiłem się na wspólną podróż tym samym pociągiem. Ona wybierała się do rodziny w Warszawie, a ja miałem odwiedzić moją Mamę w Toruniu. Jednocześnie powiadomiłem ją, że o ile nie będzie następnego dnia korzystnego pociągu w godzinach rannych, to będę musiał zrezygnować z rejsu. Prosiłem o powiadomienie o tym reszty naszej załogi. Do Wrzeszcza udałem się w dniu poprzedzającym wyjście POŚWISTU z naszą załogą. Z rozkładu pociągów dowiedziałem się, że nie mam dogodnego połączenia i dlatego tego samego dnia wieczorem wyjechałem do Torunia, rezygnując z udziału w rejsie. Jak się później dowiedziałem, moje miejsce w załodze zajął Bolesław Trochimowicz lat 22, student Wyższej Szkoły Handlu Morskiego w Szczecinie, który na lipcowym obozie pełnił funkcję szefa aprowizacji. Ze swojej funkcji doskonale wywiązywał się, zapewniając nam w tych trudnych czasach w miarę dobre posiłki.

Będąc w Toruniu, już w godzinach południowych w dniu 4 sierpnia zostałem wstrząśnięty nieoczekiwanymi wiadomościami radiowymi, iż na Zatoce zatonął jacht POŚWIST, z którego uratowała się tylko jedna osoba z załogi. Był to Bolek Trochimowicz, który to uzupełnił załogę i popłynął w moje miejsce.

W ogólnopolskiej prasie pojawiło się wiele mniej lub bardziej prawdziwych relacji z przebiegu tego tragicznego wypadku.

Dla przypomnienia tego smutnego i dramatycznego wydarzenia posłużyć się wyłącznie raportem Polskiego Związku Żeglarskiego, który prowadził dochodzenie dla ustalenia przyczyn i skutków tej morskiej katastrofy.



*Wyjście w morze jachtu POŚWIST
po odprawie w kapitanacie portu*

POŚWIST wyszedł po południu 3 sierpnia 1948 r. na pływanię i o godzinie 20. znajdował się w odległości 9 mil d. brzegu na linii Hel - Sobieszewo. Był niezbyt silny wiatr odładowy, kiedy wykonano zwrot przez sztag i zamierzano udać się w drogę powrotną.

"Płynęliśmy bejdewindem - opowiadał później Trochimowicz - gdy jacht zaczął się gwałtownie przechylać na zawietrzną i położył się na fali. Ponieważ jacht leżał zupełnie na burcie, założyliśmy kamizelki ratunkowe i wyłowiliśmy osoby, które wpadły do wody. Sternik Kawałkowski udał się na oględziny kadłuba, aby stwierdzić przyczynę awarii. Wrócił bardzo szybko i oznajmił nam, że dolna część fałszkilu, zawierająca balast, została z niewiadomych przyczyn urwana".

"Zasady dobrej praktyki morskiej przewidują w takim wypadku, że załoga nie powinna w żadnym razie opuszczać jachtu, jeżeli kadłub utrzymuje się na wodzie. Załoga powinna wzywać pomocy wszelkimi możliwymi sposobami. Tymczasem obawiając się wyniesienia jachtu dalej na morze i ufając nadmiernie własnym siłom, niedoświadczeni żeglarze postanowili, pomimo ryzyka związanego z dłuższym przebywaniem w wodzie, udać się wpław do odległego, dobrze widocznego brzegu. Sporządzili więc tratwę z desek podłogowych, kół ratunkowych i innych pływających części i pchając ją przed sobą oddalili się o godz. 20.17 od jachtu. Jednak po kilkudziesięciu minutach porzucili tratwę, płynąc dalej przez blisko cztery godziny tylko w kamizelkach ratunkowych".

"Było nam coraz zimniej, coraz bardziej sztywniały mięśnie, coraz mocniej waliły serca - opowiadał potem Trochimowicz - Noc była ciemna, chłodna i dżdżysta. Pierwsza padła ofiarą nadmiernego wysiłku Magdalena Zakrzewska. Początkowo holowaliśmy zwłoki, zmieniając się z Kawałkowskim, ale było to ponad nasze siły. O godz. 1. w nocy zdjęliśmy z niej kamizelki ratunkowe i założyliśmy Wandzi i Ani. O godz. 2. odpada Kawałkowski. Gdy spojrzałem na niego, robił wrażenie człowieka, który po prostu zasnął. Trzymał się prawą ręką koła ratunkowego, opierając na nim również twarz. Podpłynąłem do niego i lekko uderzyłem w policzek. Ocknął się na chwilę i podniósł głowę. Patrzył na mnie zdziwionym wzrokiem, ale jestem przekonany, że nie widział już nic. Trwało to zaledwie parę sekund. Znowu stracił przytomność, aby nie odzyskać jej już nigdy".

"Pierwsze promienie wschodzącego słońca ujrzały już tylko dwoje ludzi z załogi POŚWISTU. Ania nie doczekała tej chwili. Zmarła cicho i spokojnie, nie powiedziawszy nawet słowa".

Dopiero około godz. 11. robotnicy ze Śpiewowa zauważyli wychodzącego z morza po 15 godzinach pływania Trochimowicza, a po następnych 20 minutach wydobyto z morza Wandzię Biernacką w stanie pełnego wyczerpania. Nie przeżyła ona drogi do szpitala. Z pięcioosobowej załogi ocalał jedynie Trochimowicz, który po kilkudniowym pobycie w szpitalu PCK na ul. Łąkowej w Gdańsku powrócił do ośrodka szkoleniowego i brał udział w turnusie sierpniowym.

W kilka dni po wypadku nadeszła wiadomość, że morze wyrzuciło POŚWISTA na brzeg Mierzei Wiślanej po stronie radzieckiej.

Dla upamiętnienia tragedii, przed wejściem do twierdzy "Wisłoujście" bractwo żeglarskie umieściła na głazie płytę z nazwiskami ofiar wypadku.

Po powrocie z praktyki w dniu 13 września udałem się na egzamin z teorii prądów zmiennych u prof. dr. inż. Z. Staniewicza. Profesor spojrzał na mój w klapie znaczek AZM-u i z pełną powagą i wruszeniem w głosie zwrócił się do mnie mniej więcej tymi słowami: "Jestem głęboko wstrząśnięty śmiercią

Szczegóły awarii jachtu „Poświst” Cztery osoby zginęły W samolotnej walce ze śmiercią o życie

Tragedia jachtu „Poświst” 14-godzinna walka załogi z żywiołem

czterech młodych osób, w tym studenta z naszego Wydziału. Od profesora Trzetrzevińskiego dowiedziałem się, iż pan cudem uniknął losu kolegi (prof. inż. S. Trzetrzevińskiemu zawdzięczałem wyjątkową dla mnie przyjaźń i życzliwość). Proszę mi dokładnie opowiedzieć, jak doszło do tego wypadku". Moje relacje poważnie zatroskały Profesora, szczególnie gdy się dowiedział, że w czasie gdy jacht uległ awarii, w zasadzie ofiary wypadku powinny być wśród swoich rodzin, a nie na morzu. Wziął ode mnie indeks i stwierdziwszy dobrą orientację w przedmiocie zaliczył egzamin z oceną bardzo dobrą

(egzaminu wcześniejsze i późniejsze u Profesora zawsze zda- wałem z oceną piątkową).

Po 50. latach przypominałem to dramatyczne wydarzenie dla uczczenia pamięci ofiar katastrofy jachtu POŚWIST. Tragiczny ten wypadek nie tylko boleśnie odczuło środowisko żeglarskie, ale również grono profesorskie i studenckie Wydziału Elektrycznego Politechniki Gdańskiej.

*Jan Jabłoński
Wydział Elektryczny
Absolwent z 1950 r.*

KIEDY ZAKOŃCZY SIĘ ODYSEJA JACHTU "DAL"?

Chcę uchronić od zapomnienia historię jachtu "Dal", ale także "Opty", "Miranda" i innych, obecnie znajdujących się w Tczewie. Słowa te kieruję do prof. Zygmunta Sójki, prezesa Towarzystwa Przyjaciół Centralnego Muzeum Morskiego, i do pana dyrektora tegoż Muzeum doc. Andrzeja Zbierskiego. Jestem członkiem Towarzystwa Przyjaciół Centralnego Muzeum Morskiego (nr. leg. czł. 091).

Towarzystwo zorganizowało kilka zebrań w Helu i na Ołowiance, gdzie uczestników poinformowano, że jachty po konserwowaniu powrócą do Gdańska, gdzie będą eksponowane. Te jachty to **relikwie narodowe** i muszą być szanowane jak skarb.

Na jachcie "DAL" załoga złożona z Andrzeja Bohamolca, Jerzego Świechowskiego i Jana Witkowskiego w latach 1933/34 pokonała Atlantyk. W okresie międzywojennym "Dal" był drugą sportową jednostką obok "Zjawy" Władysława Wagnera oraz harcerskiego "Poleszuka". Historię rejsu jachtu "Dal" znam ze wspomnień Jerzego Świechowskiego, który jest moim szwagrem.

Wraz z Janem Witkowskim zaczęli snuć plany wyprawy już w Szkole Morskiej w Tczewie. Niestety, sprawy rozbiły się o brak jachtu i finansów. Witkowski został instruktorem żeglarskim w Państwowym Ośrodku Morskim i tam poznał Andrzeja Bohamolca, który przyjechał na Kurs Kapitanów Jachtowych. Szybko doszli do porozumienia, a że Bohomolec posiadał środki - sprawa przybrała szybko realne kształty.

Por. Andrzej Bohomolec służył w 26. Pułku Ułanów im. Hetmana Karola Chodkiewicza w Wołkowysku. Ulubieniec kobiet, bogaty ziemianin, sprzedał kawałek ziemi podobno za 1000 zł (przedwojennych), kupił jacht od gdańszczanina, a następnie sfinansował wyprawę - rejs przez Atlantyk. Charakterystyka jachtu: długość - 8,75 m, szerokość - 2,5 m, powierzchnia żagli - 45 m²; typ osprzętu żaglowego SLUP HUARI.

Gdy posiadane środki uległy wyczerpaniu, po wielu staraniach załoga "Dalu" otrzymała pomoc z Yacht Klubu Polskiego,

poprzez Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Do Chicago, na Wystawę Światową jacht dotarł dopiero 25 sierpnia 1934 roku, owacyjnie witany przez Polonię amerykańską.

W latach 1934-1968 jacht "Dal" eksponowano w Chicago - początkowo w jednym z parków miejskich, zaś od 1941 roku na wystawie w Muzeum Nauki i Techniki. Po zmianie tej wystawy "Dal" kupił Ireneusz Gieblewicz, Polak zamieszkały w Stanach Zjednoczonych.

Jacht wyremontował, pokrył laminatem i zamierzał odbyć nim rejs powrotny do Polski. Pokryciu laminatem sprzeciwił się Bohomolec, ale przegrał proces.

Do rejsu jednak nie doszło - jacht załadowano na pokład statku PLO "Lachowicz" - i tak pokonał on drogę do Bremer-schafen. Tu wylądowano go, przepłynął do Szczecina i Gdyni, gdzie został uroczystie przekazany Centralnemu Muzeum Morskiemu w Gdańsku w dniu 1 września 1980 r. Jacht zdobi proporzec: Orzeł Biały, Pogoń Litewska i Michał Anioł.

O tym, że jacht "Dal" jest w Polsce, przekazano wiadomość Papieżowi Janowi Pawłowi II, jako raport.

W Centralnym Muzeum Morskim wisiał początkowo portret jednego z uczestników wyprawy - Bohamolca. Staraniem moim i mojej żony Marii, namalowany został również portret Świechowskiego, który po wojnie zamieszkał w Kapsztadzie, w willi w kształcie mostka kapitańskiego, nazwanej na pamiątkę rejsu - "Dal". Obecnie więc w sali wiszą trzy portrety - kapitana Borchardta, Bohamolca i Świechowskiego.

Burzliwe dzieje wyprawy opisał Andrzej Bohomolec w wydanej w 1957 r. książce. Ufundował on również kaplicę w Bazylice Mariackiej pod wezwaniem: "Matki Boskiej Dalekich Mórz".

Chwała Polskim Żeglarzom - niech sławią imię POLSKI w świecie.

*Tomasz Pankiewicz
Wydział Oceanotechniki i Okrętownictwa*



WALDEMAR WARDENCKI, urodzony w 1944 roku, jest absolwentem Wydziału Chemicznego Politechniki Gdańskiej. Pracę dyplomową pt.: "Problemy oznaczania związków siarki przy pomocy niklu Raneya" zrealizował w ramach specjalności *technologia związków nieorganicznych*. Od momentu ukończenia studiów w 1968 roku do chwili obecnej pracuje w Katedrze Chemii Analitycznej (która w tym czasie trzy-

krotnie zmieniała swą nazwę) kolejno jako stażysta, asystent, starszy asystent i adiunkt. Od początku zatrudnienia zajmował się głównie zagadnieniem oznaczania związków siarki w różnych mediach z wykorzystaniem technik chromatograficznych. W pierwszym okresie tematyka dotyczyła produktów przerobu ropy naftowej. Pracę doktorską pt.: "Badania nad przydatnością sita cząsteczkowego 13X do adsorpcyjnego ząszczenia i oddzielania związków siarki z frakcji benzynowej" obronił w 1977 roku. Bezpośrednio po obronie przebywał przez rok na stażu naukowym w *Foundation of Scientific Research* w Bagdadzie (Irak), gdzie zajmował się oceną ekstrakcyjnych właściwości mieszanin do wydzielania różnych frakcji naftowych. Po powrocie zajmował się zagadnieniami związanymi z ochroną środowiska, opracowując metodę oznaczania chloru i chlorowodoru w powietrzu i w przemysłowych gazach odlotowych. Kontynuował również badania nad opracowaniem metod oznaczania związków siarki we frakcjach ropy naftowej z wykorzystaniem zmodyfikowanych adsorbentów i selektywnej detekcji. Od października 1985 r. do czerwca 1988 r. przebywał w charakterze *assistant professor* w Garyounis University w Benghazi (Libia), gdzie wykładał chemię ogólną i wybrane działy chemii fizycznej i organicznej. Po powrocie swoje zainteresowania dotyczące związków siarki skoncentrował głównie na analitach występujących w roztworach wodnych, co związane było z ogólną tematyką Katedry, zajmującą się coraz ściślej szeroko rozumianą tematyką ochrony środowiska. Badania dotyczyły zarówno opracowania metod oznaczania organicznych związków siarki, głównie w różnego typu wodach, jak i odpowiednich urządzeń (przystawek) do chromatografów gazowych. W ramach tych badań prowadził dwa granty finansowane przez KBN. Podsumowaniem dorobku tego okresu była rozprawa habilitacyjna pt.: "Izolacja i wzbogacanie jako istotny etap oznaczania organicznych związków siarki w próbkach środowiskowych" przedstawiona Radzie Wydziału Chemicznego PG w listopadzie 1997 roku, a zatwierdzona w lutym 1998 roku.

Jest autorem i współautorem ponad 90 prac naukowych (artykuły monograficzne i oryginalne oraz referaty i komunikaty opublikowane w materiałach zjazdowych). Ponadto jest współautorem sześciu skryptów (w tym dwóch w języku angielskim) i ostatnio wydanej przez WNT książki pt.: "Fizykochemiczne metody kontroli zanieczyszczeń środowiska".

Jego działalność dydaktyczna obejmuje chemię ogólną, klasyczną i instrumentalną chemię analityczną, ze szczególnym uwzględnieniem chromatografii gazowej, oraz analizę procesową. Prowadzi również zajęcia w języku angielskim dla studentów kierunku *environmental protection and management*

z zakresu analizy i monitorowania zanieczyszczeń środowiska (*Introduction to Chemistry, Environmental Chemistry*) oraz metod usuwania zanieczyszczeń powietrza (*Air Pollution Control*), a także dla studentów Międzyuczelnianego Centrum Ochrony Środowiska (CENVIG, TEMPUS). Od ponad dwudziestu lat wykłada na kursach chromatografii gazowej (dwa poziomy zaawansowania) dla słuchaczy z całego kraju. Wykłada również dla słuchaczy studium podyplomowego "Techniki instrumentalne w analizie i ochronie środowiska" i dla studentów Wyższej Szkoły Morskiej w Gdyni (Analiza instrumentalna i systemy ochrony środowiska) oraz dla słuchaczy Klubu Ekologicznego. Okresowo bywa zapraszany na wykłady z zakresu technik łączonych i ekstrakcyjnych metod przygotowania próbek na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Z tego zakresu prowadził również wykłady popularyzatorskie w innych uczelniach krajowych. Opracował program i prowadził zajęcia na kursie "Chemia analityczna w monitoringu środowiska" organizowanym w ramach projektu TEMPUS JET 8122 przez WETI i Wydział Chemiczny (rok akad. 95/96 i 96/97).

Dwukrotnie był członkiem komitetu organizacyjnego konferencji naukowych (Zjazd Naukowy SiTPChem i PTCh w 1980 roku, V Polska Konferencja Chemii Analitycznej w 1995 roku). Podczas XXII Sympozjum Naukowego "Chromatograficzne metody badania związków organicznych" w Katowicach w 1998 roku wchodził w skład Komitetu Naukowego. Recenzował kilkanaście prac dla redakcji następujących czasopism: *Chemia Analityczna, Polish Journal of Food and Nutrition Sciences, Talanta* i *Journal of Chromatography*. Jest członkiem Komisji Analizy Powietrza i Gazów PAN i Normalizacyjnej Komisji Problemowej NKP nr 116 ds. Imisji i Emisji Zanieczyszczeń Powietrza.

Od początku zatrudnienia na Wydziale Chemicznym jest aktywnym członkiem koła zakładowego SiTPChem, pełniąc w nim różne funkcje (w ostatnich dwóch kadencjach był przewodniczącym). Posiadane odznaczenia: Honorowa Odznaka SiTP Chem, srebrna i złota Odznaka Honorowa NOT, Złoty Krzyż Zasługi, Medal Edukacji Narodowej.

Interesuje go turystyka krajowa (jest przewodnikiem po Trójmieście i Półwyspie Helskim). Chętnie zwiedza również zabytki zagraniczne. Jest miłośnikiem książek. Odpoczywa pracując na działce. Rekreacyjnie uprawia tenis i narciarstwo.

Habilitacja Waldemara Wardenckiego została zatwierdzona przez Centralną Komisję ds. Tytułu i Stopni Naukowych 23 lutego 1998 roku.



BOGDAN ZYGMUNT, urodzony w 1946 roku, jest absolwentem Wydziału Chemicznego Politechniki Gdańskiej. Pracę dyplomową pt.: "Porównanie wyników oznaczania siarki całkowitej metodą Granatelliiego i metodą zmodyfikowaną w fazie gazowej" wykonał w ramach specjalności *technologia związków nieorganicznych*. Od ukończenia studiów w 1969 roku jest pracownikiem Katedry Chemii Analitycznej, obecnie na etacie adiunkta. Pra-

ce doktorską pt.: "Oznaczanie śladowych ilości tioli w produktach naftowych poprzez ich zagęszczanie przy pomocy związków rtęcioorganicznych typu $RHgX$ ", obronił z wyróżnieniem w 1976 roku. Przez następne lata zajmował się tematyką analizy związków siarki w produktach naftowych oraz analityką nieorganicznych zanieczyszczeń atmosfery (chlor, chlorowodór, dwutlenek i trójtlenek siarki, kwas siarkowy etc.). Odbываяc jednoroczny staż naukowy (1981/82) we Vrije Universiteit w Amsterdamie jako stypendysta *Scientific Exchange Agreement*, skupił się głównie na badaniach w zakresie analityki środowiskowej zanieczyszczeń organicznych. W latach 1985-1988 przebywał w charakterze *assistant professor* w Garyounis University w Benghazi (Libia), gdzie wykładał chemię ogólną i wybrane działy chemii fizycznej i organicznej. Po powrocie przez krótki okres zajmował się tematyką zabezpieczenia przed korozją wewnętrznych powierzchni systemów wodociągowych. Następnie praktycznie całkowicie skoncentrował się w pracy badawczej na problemach analityki środowiskowej. Podsumowaniem dorobku w tym zakresie była rozprawa habilitacyjna pt.: "Wybrane metody przygotowania próbek środowiskowych do chromatograficznego oznaczania zanieczyszczeń organicznych". Decyzją Rady Wydziału Chemicznego PG z grudnia 1997 r. B. Zygmunt uzyskał stopień naukowy doktora habilitowanego nauk chemicznych w zakresie chemii.

B. Zygmunt jest autorem i współautorem ok. 100 prac naukowych (artykuły monograficzne i oryginalne oraz komunikaty i zamawiane referaty publikowane w materiałach zjazdowych). Jest współautorem sześciu skryptów (w tym dwóch w języku

angielskim) i ostatnio wydanej przez WNT książki pt.: "Fizykochemiczne metody w analizie zanieczyszczeń środowiska".

Jego działalność na polu dydaktycznym obejmuje chemię analityczną ze szczególnym uwzględnieniem chromatografii gazowej oraz chemię ogólną i środowiskową; prowadzi także wykłady w języku angielskim dla studentów kierunku *environmental protection and management* i słuchaczy Międzyuczelnianego (Roskilde University Center, Freie Universität Berlin, University Lund) Centrum Ochrony Środowiska (CENVIG, TEMPUS). Od ponad dwudziestu lat wykłada na ogólnopolskich kursach chromatografii gazowej i cieczowej. Prowadzi wykłady również dla słuchaczy studium podyplomowego "Techniki instrumentalne w analizie i ochronie środowiska", studentów Wyższej Szkoły Morskiej w Gdyni (Systemy ochrony środowiska) oraz słuchaczy kursów z zakresu ochrony środowiska, organizowanych przez Klub Ekologiczny. Okresowo bywa zapraszany na Wydział Chemii UMK w Toruniu do prowadzenia wykładów z zakresu nowoczesnych sprzężonych technik analitycznych i metod obróbki próbek środowiskowych. Prowadził zajęcia na kursach "Chemia analityczna w monitoringu środowiska", organizowanych w ramach projektu TEMPUS JET 8122 przez WETI i Wydział Chemiczny.

Był członkiem Komitetu Organizacyjnego V Polskiej Konferencji Chemii Analitycznej w 1995 r. Jest członkiem Normalizacyjnej Komisji Problemowej ds. Podstawowych Zagadnień Jakości Powietrza oraz Komisji Odczynników i Reakcji Analitycznych w Komitecie Chemii Analitycznej PAN.

Pasjonuje go Wszechświat jako całość, a szczególnie góry.

Habilitacja Bogdana Zygmunta została zatwierdzona przez Centralną Komisję ds. Tytułu i Stopni Naukowych 30 marca 1998 roku.

Szachownica pragnień i możliwości - czyli gry dydaktyczne

Tytułem wstępu: Szachownica... pola czarne i białe - pola czarne to pragnienia dydaktyczne, a białe to oczekiwania studentów... Ale może właśnie pola czarne to oczekiwania, a pola białe to pragnienia... Nie wiem! Szachy to gra, która jest procesem w czasie, trudna gra dla myślących. Ale myśleć muszą przecież obie strony. Bo inaczej mnożą się paradoksy. Stąd paradoks jest nieunikniony w każdej dydaktyce, a tym bardziej w nauczaniu projektowania!

Deintegracja poszczególnych dziedzin ludzkiego działania, przy jednocześnie wzrastającej potrzebie integracji, stanowi paradoks współczesnej cywilizacji.

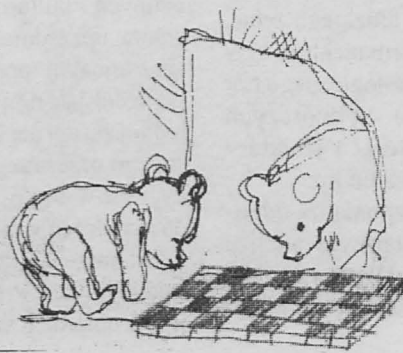
Sytuację pogarsza jeszcze zjawisko tzw. "eksplozji informacji". Sytuacją pożądaną byłby tu bezpośredni dostęp każdego człowieka do wszystkich tytułów. Jest to oczywiście zupełnie niemożliwe wobec wielkiej ilości ukazujących się książek, czasopism, artykułów i krótkotrwałości życia ludzkiego. Liczbę książek ocenia się na 30 milionów rocznie, w tym około 115 mln naukowych. Publikuje się trzy do czterech milionów rocznie artykułów, w około 70 tysiącach czasopism. Liczba publikacji naukowych podwaja się co 10-15 lat. Zbiory biblioteczne rosną równie gwałtownie i podwajają się co 20 lat. Czytelnik natrafia na wielkie przeszkody, utrudniające mu dostęp do źródeł pierwotnych. Potrzebne informacje są rozsiane w zbyt wielkiej ilości publi-

kacji. Zjawisko to jest wielką przeszkodą w prowadzeniu badań specjalistycznych, a tym bardziej interdyscyplinarnych. Systemy informacyjne, mające na celu udostępnienie informacji, nie zawsze są w stanie to zadanie spełnić, funkcjonowaniem swym bowiem przypominają czasem grę w kości. Dalsze pogłębianie się dezintegracji wzmacnia **groźbę utraty kontroli** nad siłami wyzwolonymi w wyniku ludzkiej działalności. Pojawia się sprzeczność pomiędzy działaniem a świadomością skutków tego działania; zjawisko nie mniej groźne niż możliwość wyczerpania się zasobów naturalnych, zanieczyszczenia naturalnego środowiska itp.

Obowiązek nieustannego czuwania nad kierunkami rozwoju ludzkości stwarza silną potrzebę integrowania poszczególnych dziedzin życia. Niezbędnym warunkiem przywrócenia zachwianej równowagi jest oczywiście rozwój badań interdyscyplinarnych.

Dawniej znacznie powolniejszy wzrost warunków rozwojowego tła gwarantował względną autonomię poszczególnym

dziedzinom ludzkiego życia, np. obyczajowości, kultury, sztuki itp. Warunki zewnętrzne stanowiły układ odniesienia, który ze względu na powolne tempo rozwoju mógł, przynajmniej przy pewnym typie badań, nie być brany pod uwagę. Ten stan, kształtując pewne tradycje żywe w niektórych działach humanistyki, powoduje utratę samowiedzy poszczególnych dyscyplin. Dlatego powstaje potrzeba uprawiania dyscyplin pomocniczych, których celem jest badanie dokonujących się przemian we własnej



dziedzinie (np. sztuce, kulturze itp.) na skutek przeobrażeń i oddziaływania zmiennych warunków tła. Byłby to nowy typ uprzystępniania wiedzy, odmienny w formie, od popularyzacji dawnych, polegających na biernym przenoszeniu pewnych informacji, w celu kształcenia osobowości czytelnika. Celem interdyscyplinarnych specjalności pomocniczych byłoby wykorzystywanie dorobku dyscyplin pokrewnych dla zbadania sytuacji, oceny dorobku i określenia wytycznych własnej dyscypliny. Takie próby przewyciężenia dezintegracji wymagają wyodrębnienia dyscypliny wiodącej, dla potrzeb której przeprowadzane są badania.

Wszelkie próby adaptacji dorobku pewnych nauk na potrzeby innych chybią celu, jeżeli nie określi się wyraźnie potrzeb, dla których dokonuje się owych adaptacji, gdyż mogą się łatwo przekształcić w błyskotliwy, lecz mało przydatny popis erudycji. We współczesnej literaturze naukowej jest wiele takich pozycji, których zawziętość i skomplikowanie są spowodowane sposobem myślenia autorów, a nie swoistością przedmiotu badań.

Uprawianie postulowanych tutaj badań jest z wielu względów poważnie utrudnione, wymaga nie tylko opanowania wiedzy z różnych dziedzin i umiejętności dokonywania syntez, ale narażone jest ponadto na wiele innych trudności. Prace naukowca, zajmującego się problematyką badań interdyscyplinarnych na użytek określonej dyscypliny, są dla jej rozwoju nie mniej użyteczne niż prace dotyczące immanentnej problematyki danej dyscypliny. Jest bowiem bardziej prawdopodobne, że przy założeniu jednakowej zdolności, wiedzy i umysłowego wysiłku obu naukowców będą zawierały więcej nowych i potrzebnych dla rozwoju dyscypliny informacji. Potrzeba badań interdyscyplinarnych jest już truizmem, jednocześnie - wobec panującego konserwatywnego i tradycyjnego wąskiego zasklepienia poszczególnych dyscyplin - istnieje większe prawdopodobieństwo, iż interdyscyplinarna praca nie dotrze do potencjalnie zainteresowanych czytelników, gdyż zostanie zakwalifikowana jako wykraczająca poza obręb specjalistycznych zainteresowań. Narażona jest ponadto na bardziej surowe oceny. Badacz poświęcający się trzem różnym dziedzinom ma teoretycznie trzykrotnie mniejsze szanse zgłębienia problematyki od badacza zajmującego się tylko jedną dziedziną. Natomiast czytelnik, reprezentant danej specjalności, posiada znajomość tylko jednej z dziedzin. Dlatego zawsze istnieje niebezpieczeństwo, iż praca interdyscyplinarna, wobec posiadanych nawyków intelektualnych i przyswojonej wiedzy fachowej, wyda mu się szokująca, dziwna, powierzchowna, a nawet mało rzetelna. W badaniach interdyscyplinarnych może dopatrzeć się niedopuszczalnego wkraczania intruzów w dziedzinę zastrzeżoną dla doświadczonych fachowców danej specjalności.

Zdając sobie jasno sprawę z tych i temu podobnych trudności, autorka podjęła pracę, której celem jest wykorzystanie dorobku estetyki oraz pewnych aspektów metodologii nauk dla potrzeb twórczości projektanckiej.

Architektura jest sferą ludzkiej działalności, w której na skutek dezintegracji poszczególnych dziedzin ludzkiego życia, przeobrażeń techniki, ekonomiki itp., trwa permanentnie kryzysowa sytuacja. Przyspieszenie rozwoju technologicznego powoduje ustawiczne przemiany w zakresie wytwórczych technologii, organizacji wykonawstwa, wielkości i struktury skupisk ludzkich, trybu życia, przemian socjalnych itp.

Współczesna wiedza o architekturze nie rozporządza odpowiednim warsztatem badawczym, umożliwiającym analizę i modelowe ujęcie jej rozwojowych procesów. Dlatego istnieje niebezpieczeństwo, iż sztuka projektowania znajdzie się w śle-

pej uliczce, nie będąc w stanie sprostać zadaniom. Teoretycy kultury i sztuki traktują architekturę powierzchownie, a często zupełnie ją pomijają.

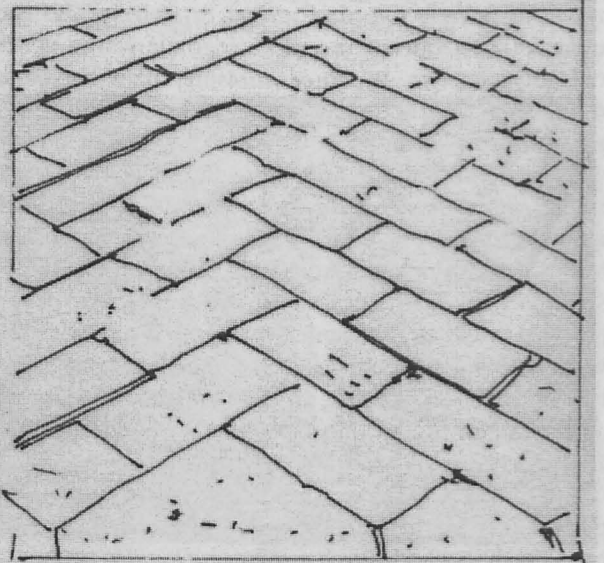
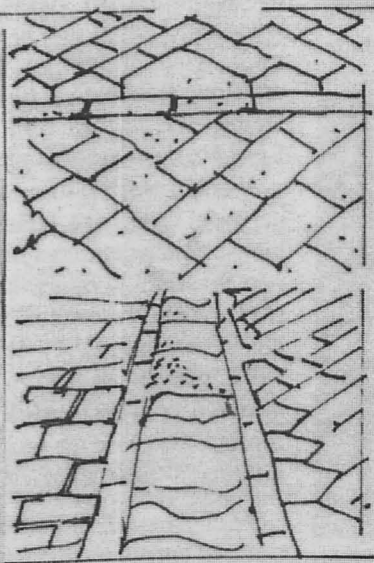
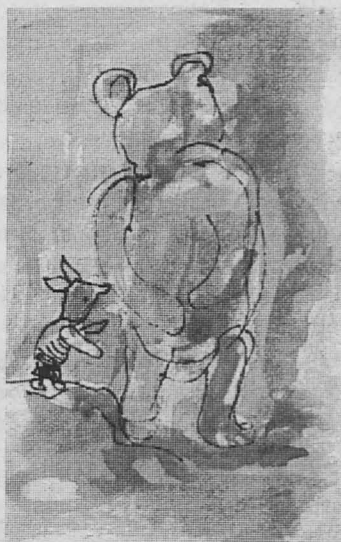
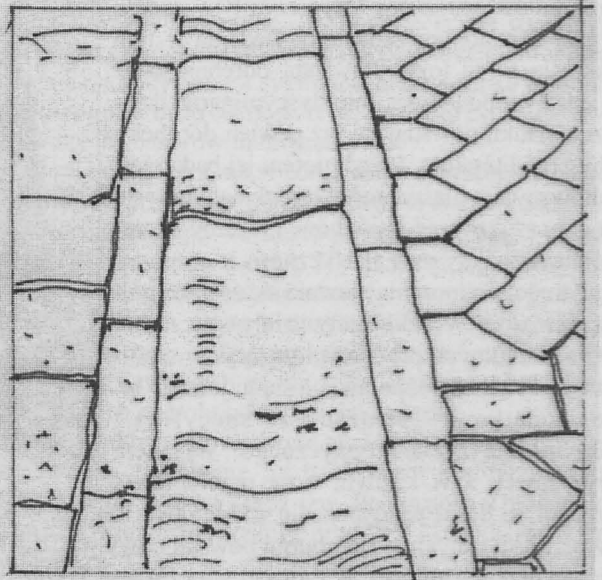
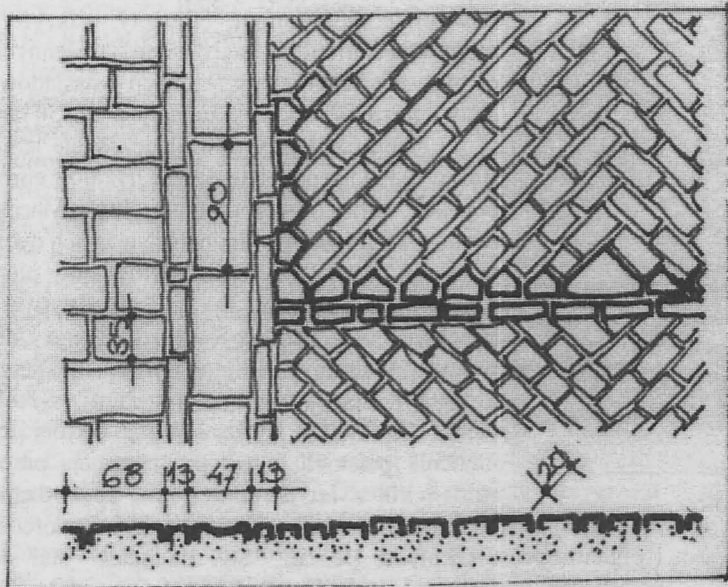
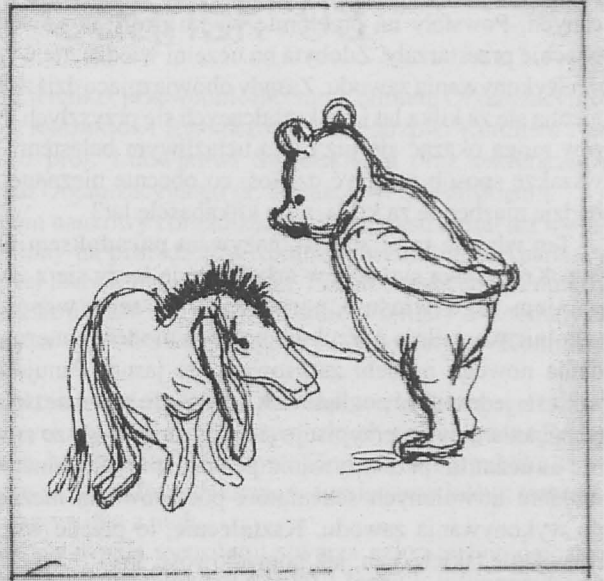
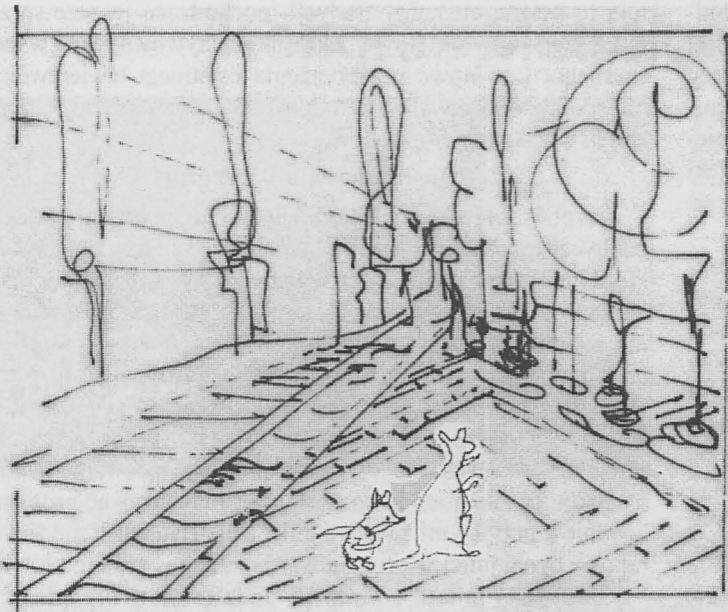
Niemniej niepokojącą okolicznością jest fakt, iż sami architekci nie zawsze w pełni zdają sobie sprawę z panującej we własnej dyscyplinie sytuacji. Wciąż żywa jest wiara w nieograniczone możliwości mistrza - praktyka, "murarza, który opanował łacinę". Jako środki zaradcze postuluje się zalecenia wysuwane przed 50 laty, które nie były i nie będą w stanie przeciwdziałać niepokojącym zjawiskom. Twórcy, po dawnemu szukając immanentnych środków i sposobów działań, mniej interesują się problematyką zewnętrznych mechanizmów rozwojowych, warunkujących przeobrażenia architektury. W następstwie nie zawsze potrafią te mechanizmy dostrzec, zanalizować, zrozumieć, ani tym bardziej nad nimi zapanować. Dlatego coraz bardziej tracą rolę koordynatora różnych, składających się na architekturę dziedzin. Ograniczaniu elementów artystycznych sprzyja rozwój pewnych technologii i niektóre systemy uprzemysłowionego budownictwa. Zasięg oddziaływania twórczego zawęża się coraz bardziej, mimo iż nie zawsze przynosi to autentyczne oszczędności.

W celu przeciwdziałania postępującemu zanikaniu wartości estetycznych należy podjąć próbę uprawiania dyscyplin pomocniczych, służebnych wobec twórczości projektanckiej. Główne kierunki badań sprowadzają się do analiz rozwojowych procesów tła warunkujących przeobrażenia architektury, oraz do specjalistycznych prac z zakresu estetyki, a w szczególności wykorzystania dorobku estetyki tradycyjnej dla potrzeb projektowania architektury i form przemysłowych.

Praca jest pomyślana jako próba w zakresie estetyki. W rozdziale pierwszym omówione są problemy i metody kształcenia projektantów, starano się wskazać niedostateczność stosowanych dotąd metod. Rozdział drugi zawiera analizę stosunku teorii do twórczości oraz rozważania możliwości takiego uprawiania estetyki, które, służąc twórczości, nie zawierałoby żadnych ograniczających recept. Związek takiej estetyki z twórczością wykazuje analogie ze związkami, jakie nauki techniczne tworzą z działalnością projektancką. Zadanie estetyki polegałoby wobec tego na opracowywaniu alternatywnych strategii postępowania. Spełnianie tego rodzaju zadań wymagałoby eliminacji wielu cech estetyki tradycyjnej. Wstępne założenia dla estetyki prakseologicznej sformułowano w rozdziale "Truizm". Podstawowe terminy i kategorie estetyki filozoficznej modyfikują się w związku z koniecznością ich praktycznego zastosowania. W tym celu przedstawiono podstawowe cechy wielowątkowej struktury estetycznych wartości. Przytoczone przykłady ilustrują praktyczne zastosowanie estetyki prakseologicznej, polegające na ułatwianiu wyboru wśród alternatywnych rozwiązań.

Paradoks nauczania

W szkolnictwie kształcącym projektantów panuje od wielu lat przełomowa sytuacja. Tempo przemian gospodarczych, socjalnych i kulturowych, stawia przed szkolnictwem nowe, nieznane uprzednio zadania. Dawne systemy wartości ulegają zasadniczym przeobrażeniom. Rosną preferencje dla takich wartości jak nowość, odkrywczość, świeżość koncepcji, przy jednoczesnej deprecjacji rutyny, kunsztu wykonania, rygorystycznego przestrzegania reguł, umiejętności manualnych. Tradycyjnemu szkolnictwu wyższemu brak odpowiednich doświadczeń w zakresie rozwijania najbardziej cenionych wartości: inwencji, inicjatywy, umiejętności odrzucania wzorów tradycyjnych. Problem kształcenia w czasach współczesnych jest problemem szczególnym; tempo przemian nauki i techniki



powoduje szybkie starzenie się zdobywczy naukowych i technicznych. Powstały na przełomie wieku profil absolwenta jest obecnie przestarzały. Zdobyta na uczelni wiedza nie wystarczy dla wykonywania zawodu. Zasady obowiązujące dziś zdezaktualizują się za kilka lat i dla kształcących się przyszłych inżynierów mogą okazać się już tylko uciążliwym balastem. W jaki wszakże sposób nauczyć czegoś, co obecnie nieznanne, ale co będzie niezbędne za kilka, albo kilkanaście lat?

Ten właśnie splot zjawisk nazywam **paradoksem nauczania**. Kryzysowa sytuacja w szkolnictwie łączy się z występowaniem tego właśnie paradoksu. Dlatego współczesne szkolnictwo usilnie poszukuje nowego modelu nauczania. Zadania nowego modelu zarysowują się jasno. Panuje w tym zakresie jednolitość poglądów. **Kształceniu** w sensie twórczego rozwijania umysłu przypisuje się dziś dużo większe znaczenie niż **nauczaniu**, przekazywaniu pewnej sumy informacji i wyrabianiu utrwalonych schematów postępowania niezbędnych do wykonywania zawodu. **Kształcenie**, to przede wszystkim rozwijanie takich cech, jak pomysłowość, krytycyzm, inicjatywa, inwencja, oryginalność, samodzielność sądów itp. Główna trudność polega jednak na wypracowaniu takich metod i programów nauczania, które czyniłyby zadość wyżej określonym zadaniom. Badania w tym zakresie są w toku. Powstała odrębna gałąź wiedzy - innowatyka, interdyscyplinarna dziedzina nauki, posiadająca już pewien dorobek i obszerną literaturę. Przedmiotem jej badań jest innowacyjna plastyczność ludzkiego umysłu oraz poszukiwanie sposobów, które by szczególnie rozwijały ową plastyczność.

Paradoks nauczania ujawnia się ze szczególną ostrością w szkolnictwie artystycznym. Oprócz ogólnych procesów, drażących współczesną cywilizację, pojawiają się tu jeszcze inne, dodatkowe, związane ze specyfiką i odrębnością życia artystycznego. Wyrazem kryzysowej, a w każdym razie przełomowej sytuacji, są liczne reorganizacje szkolnictwa. Tak np. w Szkole Sztuk Plastycznych w Hamburgu powstał nowy wydział wzornictwa przemysłowego. W tym samym czasie w Szkole Sztuki Stosowanej w Darmstad, w celu ściślejszej współpracy z miejscową politechniką, reorganizuje się wydział wzornictwa przemysłowego. W szkołach o niezmiennym statusie organizacyjnym stare programy zastępuje się nowymi. Jest to zjawisko powszechne dziś na całym świecie. Zastępowanie **nauczania kształceniem** jest szczególnie ważne w szkolnictwie artystycznym. W sztuce wcześniej niż w innych dziedzinach życia - technice i gospodarce - dokonano się przewartościowanie, związane z wysuwaniem się na plan pierwszy takich cech, jak oryginalność, inwencja itp. Nowatorstwo i odkrywczość ceni się w sztuce wyżej, niż w jakiegokolwiek innej dziedzinie. To, co ma dopiero zostać odkryte, nie może być zawczasu, przed dokonaniem odkrycia, skodyfikowane, sformułowane i jasno określone. Zdobywcze innowatyki próbujące odpowiedzieć na pytanie: **jak kształcić odkrywców?** tylko w niewielkim stopniu dają się w sztuce wykorzystać, jest ona bowiem dziedziną swoistą. Dodatkową trudnością jest okoliczność, że model tradycyjnego nauczania jest szczególnie obciążony skostnieniem i konserwatyzmem.

Studia nad programami współczesnych szkół projektowania pozwalają stwierdzić, iż programy te zawierają konglomerat rozmaitych, pochodzących z różnych okresów wątków. Poku-

tują tu pewne elementy tradycji, pochodzące jeszcze sprzed pierwszej wojny światowej, okresu międzywojennego i współczesnego. Lawinowe przeobrażenia ostatniego ćwierćwiecza nie zdołały doprowadzić do odpowiadających im radykalnych zmian w zakresie programów.

Doświadczenia Bauhausu

Dorobek okresu międzywojennego to przede wszystkim zdobycze pedagogiki Bauhausu. Była to pierwsza uczelnia, która nie tylko zerwała z akademizmem w zakresie nauczania, ale zaproponowała i opracowała nowy system zarówno nauczania, jak i tworzenia. Prace Waltera Gropiusa miały niewątpliwie prekursorski charakter. Gropius już w latach dwudziestych zdawał sobie jasno sprawę z "paradoksu nauczania". Głosił, iż "młody architekt jest zdolny znaleźć swą własną drogę..." toteż zadaniem Bauhausu nie jest bynajmniej wypracowanie doktryny twórczej, ale metody pozwalającej rozwiązywać problemy zgodnie z przyjętymi założeniami. "Cele Bauhausu nie zawierają się bynajmniej w propagowaniu jakiegoś systemu lub dogmatu". Gropius sądził, że tworzenie tzw. "szkoły artystycznej" - propagowanie określonego programu artystycznego stylu byłoby równoznaczne ze stagnacją, naśladownictwem, nowym akademizmem. Niestety, odkryte i rozpowszechnione w latach międzywojennych metody nie zapobiegały stagnacji i naśladownictwu form. Wzory wykształcone przed 50 laty są po dzień dzisiejszy powielane. Wiele lamp stołowych, dostępnych w sklepach krajów europejskich, ładząco przypomina te, które Marine Brand projektowała w Bauhausie w latach dwudziestych. Współczesne prace studentów pierwszych lat studiów, tak z Pratt Institute Brocklyn (New York), z Syrakuzkańskiego Uniwersytetu School of Art., jak i Wydziału Wzornictwa Przemysłowego Akademii Sztuk Pięknych w Wilnie, wydziałów architektury politechnik polskich, żywo przypominają prace studenckie z lat dwudziestych, pochodzące z "Vorkursu" J. Ittena. Wbrew intencjom i nadziejom twórców i organizatorów szkoły w Dessau, "Styl Bauhausu" stał się stylem "akademickim", a samo hasło "Styl Bauhausu" trafiło już do encyklopedii.

Nieomal wszystkie aktualne problemy były już w jakiś sposób, w załączkowej formie, postawione po raz pierwszy w Bauhausie. Pozytywny dorobek tej uczelni jest niemały i zawiera wiele aspektów o dziś aktualnych i z powodzeniem stosowanych. Wielu profesorów słynnych na całym świecie, znanych artystów, architektów, to właśnie wychowankowie Bauhausu. Herbert Bayer, Max Bill, Marcel Breuer, Berbrand Goldberg, Ernst Neufert, Iwao Yamawaki.

Według teorii Gropiusa talentu nie można **rozwijać**, a co najwyżej wykrywać. I taki jest główny cel artystycznego szkolnictwa. Rozwijanie znajomości w zakresie artystycznych technik, ów słynny "klucz kształtowania", to tylko stwarzanie środków dla wypowiedzi twórczych, wyszukiwanie odpowiedniej materialnej formy dla tkwiących w psychice i jakby tam wrysowanych artystycznych wizji. Największe potencjalne możliwości twórcze posiadają dzieci, istoty młode i jeszcze nie zepsute, świeżość ich wizji nie została zniszczona przez zalew informacji "akademickiego estetyzmu". Cdn.

Krystyna Pokrzywnicka
Wydział Architektury

Kongres Metrologii, Gdańsk '98



Stół prezydalny podczas uroczystości otwarcia Kongresu

Jedną z największych konferencji naukowych organizowanych w Politechnice Gdańskiej w ubiegłym roku był Krajowy Kongres Metrologii, Gdańsk '98 w dniach 15-18 września. Patronat honorowy nad Kongresem sprawowali: Przewodniczący Komitetu Badań Naukowych, Sekretarz Wydziału IV PAN i Rektor Politechniki Gdańskiej.

Hasłem przewodnim Kongresu były "Nowe Wyzwania i Wizje Metrologii". Obrady koncentrowały się na trzech tematach przewodnich: rola metrologii jako podstawowego narzędzia podnoszenia jakości; wpływ postępów elektroniki i informatyki na rozwój metrologii; zadania metrologii wynikające z integracji z Unią Europejską.

W Kongresie wzięło udział ponad 300 uczestników z Polski oraz Niemiec, Wielkiej Brytanii, Holandii, Austrii, Szwecji, Litwy i Ukrainy. Na Kongres zakwalifikowano 206 prac, w tym 7 zaproszonych referatów plenarnych, 112 referatów sekcyjnych i 87 posterów. Do wygłoszenia referatów plenarnych, nawiązujących do haseł Kongresu, zaproszono 4 wybitnych specjalistów zagranicznych, znanych z aktywności w IMEKO: prof. L. Finkelsteina - City University, London (redaktora czasopisma *Measurement*), prof. H. Osanne - Technische Universität Wien, prof. Chr. Rohrbacha, Niemcy, oraz prof. D.L. Regtien - University of Twente, Holandia.

W obradach i imprezach towarzyszących Kongresu wzięły czynny udział JM Rektor prof. Aleksander Kołodziejczyk, który na sesji inauguracyjnej wygłosił interesujące przemówienie z wątkami metrologicznymi.

Materiały kongresowe wydano w 5 tomach. Gdańskim, mielenijnym akcentem Kongresu była sesja plenarna w Dworze Artusa, na której doc. Andrzej Januszajtis wygłosił bardzo ciekawy referat: "Gdańscy pionierzy metrologii" oraz przybliżył historię i piękno tysiącletniego Gdańska.

W czwartym dniu Kongresu odbyły się, cieszące się dużym zainteresowaniem uczestników, wizyty techniczne: w porcie Marynarki Wojennej w Gdyni, Elektrowni Szczytowo-Pompo-wej w Żarnowcu oraz w ABB - Zamech w Elblągu.

Kongres spotkał się z bardzo dobrą oceną uczestników na sesji zamykającej, gdzie podkreślano jego wysoki poziom naukowy i duże znaczenie dla integracji interdyscyplinarnego środowiska metrologicznego. Podkreślano także atrakcyjność i poziom imprez towarzyszących: koncertu w Katedrze Oliwskiej, spotkania w Dworze Artusa, rejsu statkiem po portach i Zatoce Gdańskiej.

Kongres został zorganizowany wspólnym wysiłkiem 3 metrologicznych katedr z Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki oraz Wydziału Elektrotechniki i Automatyki PG.

Komitet Naukowy złożył gratulacje i podziękowania głównym organizatorom: przewodniczącemu Kongresu prof. Romu-

aldowi Zielonko, przewodniczącemu Komitetu Organizacyjnego prof. Ryszardowi Roskoszowi, sekretarzowi Komitetu Naukowego prof. Ludwikowi Spiralskiemu oraz sekretarzowi Komitetu Organizacyjnego dr. Dariuszowi Świsulskiemu.

Poziom naukowy i organizacyjny Kongresu został też wysoko oceniony na posiedzeniu Komitetu Metrologii i Aparatury Naukowej PAN w dniu 30.11.99 r. Pochlebne recenzje i notatki o Kongresie ukazały się w czasopiśmie "Pomiary - Automatyka - Robotyka" nr 10/98 oraz "Pomiary - Automatyka - Kontrola" nr 12/98.

W trakcie obrad Kongresu sformułowano szereg wniosków dotyczących wyzwań i wizji rozwojowych metrologii w bliskim i dalekim horyzoncie czasowym. Zostaną one opublikowane inextenso w pokonferencyjnym, 6. tomie materiałów; tutaj zamieszczamy kilka z nich.

Nowe wyzwania metrologii stwarza galop technologiczny, zwłaszcza w dziedzinie elektroniki i technik informacyjnych (informatyki, telekomunikacji), globalizacja gospodarki, techniki i nauki, a także zasady wolnego rynku wprowadzane również do nauki.

Jednym z ważnych trendów jest integracja (na wspólnym podłożu półprzewodnikowym lub małej powierzchni montażowej) czujnika, kondycjonera sygnałów, przetwornika analogowo-cyfrowego i mikrokomputera, prowadząca do tzw. zintegrowanych sensorów inteligentnych.

Aparatura pomiarowa ma w coraz większym stopniu charakter systemowy, przy czym megatrendem są *mikrosystemy pomiarowe* konfigurowane wewnątrz pojedynczej kostki układu scalonego (instrument in a chip). Dla przeciętnego człowieka oznacza to bliską możliwość nieustannego monitorowania stanu własnego zdrowia. W najbliższym dziesięcioleciu w ręcznym zegarku można będzie umieścić również mikrosystem pomiarowy podstawowych parametrów organizmu ludzkiego, wizualizowanych na polu odczytowym zegarka.

Innym kierunkiem rozwojowym są rozproszone makrosystemy pomiarowe, budowane na bazie sieci komputerowych (LAN-ów i radioLAN-ów) oraz tzw. fieldbusów. Zrewolucjonizują one metrologiczną obsługę produkcji komputerowo zintegrowanej, tzw. CIM.

Nowe poważne wyzwania stwarzają potrzeby metrologiczne nanotechnologii, a w przyszłości także pikotechnologii, z tolerancjami rzędu nanometrów i pikometrów.

Romuald Zielonko, Ryszard Roskosz
Wydział Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki
Wydział Elektrotechniki i Automatyki



Sala obrad w czasie referatu plenarnego prof. L. Finkelsteina

AUTOKAREM Z GDAŃSKA NA SAHARĘ

8 sierpnia 1998 r. PTTK-owcy z Politechniki Gdańskiej wyruszyli na Saharę autokarem marki SAN, w którym system chłodzenia silnika przechodził pod siedzeniami przez cały autokar i podgrzewał wnętrze. Kierowcy to Broniek i Janusz. Kierownictwo to Bożena Hakuć i Ryszard Dunikowski.

Docieramy do Trapani, skąd wypływamy 17 sierpnia o 12.35 promem do Tunisu.

O 22.20 jesteśmy w Afryce. W centrum Tunisu o 23.37 jest 31°C. Do naszego lokum idziemy 500 m przez śpiącą medynę. Wąskie uliczki zamiecione. Po ludziach zostały kupki śmieci. Wałęsają się niewielkie koty o chudych ciałach i lśniącej sierści. Na takim ciała osadzona jest za duża głowa z za dużymi oczyma i za dużymi uszami.

Mieszkamy w Auberge de Jeunesse, którego szef Hassen był naszym opiekunem. Towarzystwo jest międzynarodowe: Amerykanka, Niemka, Berberzy z Algierii, Irakijczyk.

Z Tunisu robimy wycieczki do MUZEUM BARDO, poświęconego rzymskim mozaikom, do jednego z fragmentów KARTAGINY, do SIDI BOU SAID, poznajemy nowoczesną dzielnicę Tunisu, zbudowaną na zasypianym jeziorze. Z minaretu śpiew muezina nagrany na taśmę bezskutecznie wzywa do modlitwy.

W Tunisie funkcjonuje AMENBANK. Czy w tym banku wszystko przepada na amen, czy jest tak pewne, jak amen w pacierzu?

19 sierpnia o 8.00 jest 33°C. Jedziemy na północ do jakiegoś ośrodka. Do bardzo uczęszczanej przez tubylców plaży idzie się ze 300 m zaśmieconą drogą przez eukaliptusowy gaj, w tym czasie obsypany białym kwieciami okupowanym przez pszczoły. Piasek parzy stopy. To teren turystom nieznanym.

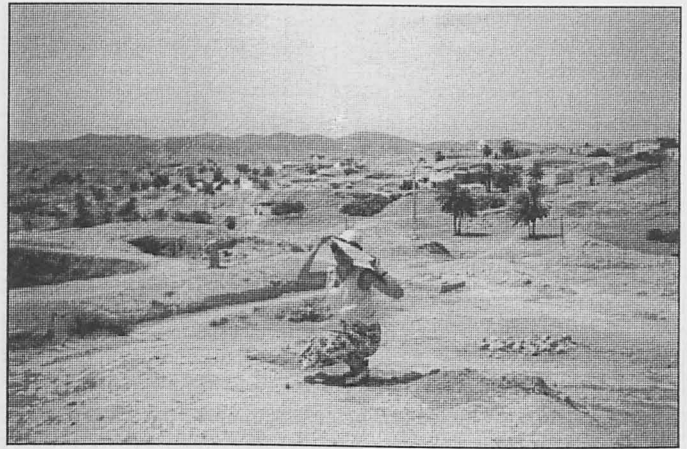
Przy wyjeździe gałęzie eukaliptusów rozbiły jedną górną szybę. Baliśmy się, że ktoś wejdzie przez okno do autokaru stojącego samotnie na ulicy, ale Hassen zapewniał, że nie, i miał rację. To jednak nie Europa!

Potem zwiedzamy BIZERTE. Z fortyfikacji widać m.in. cmentarz poległych w czasie wojny z Francuzami (1938-1952 r.). Nam bliska wojna 1939-1945 - w świadomości Tunezyjczyków nie istnieje. Na suku sprzedawano rośliny do czyszczenia zębów, wyglądające jak sznurki nasączone asfaltem, a także kameleony żywe i zasuszone.

21 sierpnia, w piątek, który jest w Tunezji dniem roboczym (wolne są niedziele), opuszczamy Tunis i jedziemy do EL KANTOUI, SOUSSE, MONASTIR, MAHDIA.



El Jem, Colosseum



W MONASTIR jest Mauzoleum Poległych za Wolność oraz Mauzoleum Bourgiby. Bourgiba żyje, ale pochowają go tam, jak przyjdzie jego pora. Na razie leżą tam jego rodzice. Tu Bourgiba się urodził, tu stoi jego połyskujący w słońcu pomnik. Coś mi to przypomina.

MAHDIA. W starym porcie rybackim na wszystkich łodziach albo były, albo sporządzano maty z liści palmowych. Służą one do oszukiwania ryb łowionych za dnia, a żerujących tylko w nocy. Kładzie się te maty na wodę i robi rybom sztuczną noc.

Nocować będziemy w CHEBBA, w ośrodku sportowym, w którym nie ma białych.

Poznałam tu uroczą rodzinę arabską, składającą się z kilku braci z żonami i dziećmi, dwóch babć i jednego dziadka. Zaprośili mnie z mężem do siebie na wieczór. Mieli pokoje z tarasami (ok 3m²), które wyłożyli matami i częściowo materacami, siedzieli w kucki albo na małych stołeczkach. Dwóch braci grało na bębenku i na instrumencie strunowym. Reszta trochę wtórowała śpiewem, ale głównie klaskała do rytmu. Poczęstowali nas winogronami i wspaniałą herbatą, podaną w kieliszczykach. Jest to wywar z herbaty różowej, czarnej, mięty i cukru. Sympatyczne były ich dzieci. Najzabawniejszy był malutki Mohamed, który tańczył w majtkach wypchanych pieluchą. Tylko jedna z młodych kobiet była w sukni z długim rękawem i w huście, pozostałe ubrane były po europejsku, nawet w mini. Mężczyźni chodzili w krótkich, białych spodniach, zmarszczonych w talii. Sięgały prawie kolan. Uszyto je z prostego kawałka materiału zeszytego po bokach i w dolnej części tylko w środku, w kroku. Dwa pozostałe, nieszeszyte odcinki stanowiły otwory na nogi. Mężczyzna w takich spodniach wyglądał, jakby mu się w biegu do ubikacji nieszczęście przytrafiło.

22 sierpnia zwiedzamy EL JEM i KAIROUAN.

Atrakcją EL JEM jest Colosseum nieco mniejsze od rzymskiego. Imponująco prezentuje się ono od strony szosy na tle równiny, w otoczeniu niskich domów i palm.

KAIROUAN to tunezyjska Mekka. Oglądamy dziedziniec Wielkiego Meczetu, a potem tzw. Meczet Fryzjera. Mieszkał tam i tam jest pochowany przyjaciel proroka, który posiadał trzy jego włosy i dlatego nazywany był Fryzjerem Proroka. Przy samym grobie świętego dokonuje się rytualnego obrzezania chłopców. Oglądamy Baseny Aghlabidów z IX w., do których woda doprowadzona jest akweduktami. Na suku poznałam tkającą dywan mulatkę. Wzór robiła z pamięci z dużą wprawą.

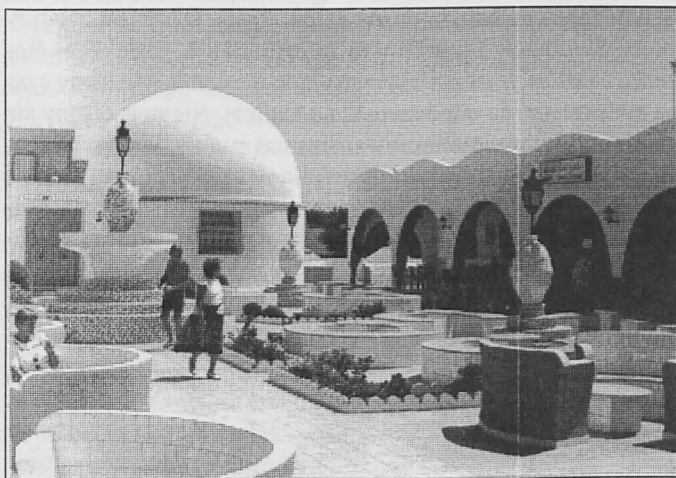
Na pamiątkę zawiązała mi 3 kawałki włóczki wokół nadgarstka. Ode mnie wzięła długopis.

23 sierpnia na śniadanie dostajemy chałwę zamiast dżemu. O 21.00 po kolacji obchodzimy połowinki i pasowanie tych, którzy są z tą grupą po raz pierwszy. Pięknie prezentował się Rysio jako wezyr w czarnym szlafroku z malowankami i w ukwieconym zawoju.

Nazajutrz Arabowie pokazują nam arabską ceremonię ślubną, w czasie której podobno zjada się m.in. żywe skorpiony bez negatywnych tego skutków. Na koniec były tańce. Arabscy sportowcy mają około dwudziestu lat. Pracują i dorabiają grą w piłkę. Zapytali mnie, wskazując na Jurka, czy jest moim mężem. Zdziwili się, że jest kawalerem i pytali, czy go nie stać na żonę (finansowo).

25 sierpnia wyjeżdżamy na wyspę JERBA do HOUMT SOUQ. Na trasie przed wieloma sklepikami widać czekające na zabicie owce, wiszące zabite, wiszące ściągnięte skóry z łbami, obciążone tusze. Jedna owca leżała cała we krwi i jeszcze drgała. Był to przykry widok.

Tu mieszkamy w funduku. W pokojach jedynymi sprzętami są łóżka żelazne z wyciągniętą siatką albo murowane podesty, na tym materac i dwa prześcieradła. Światło elektryczne dopro-



Restauracyjna część stacji benzynowej

wadzone. Łazienki z prysznicami są. Gros pokoi ma malutkie okienka. Mieszkamy na piętrze. Na parterze jest patio z żywymi roślinami, studnia z wodą, którą Arabowie piją bez przegotowania, kuchnia i pokoje obsługi. Dzisiaj obchodzimy imieniny Ludwika.

Stąd jedziemy do HARA SEGHIRA i GUELLALA, gdzie żyje się z ceramiką. Ceramiką są zastawione całe place. Oglądaliśmy mały warsztat garncarski. W pierwszym pokoiku - koło garncarkie, na którym pracował mały chłopak, a ojciec go pilnował i pouczał. W następnym pomieszczeniu był wlot do pieca. Palono pniami palm. Wylot pieca z wypalonymi wyrobami był na zewnątrz budynku. Właściciel pokazał warsztat, pozował do zdjęcia, a w końcu wyjął z pieca wypaloną, jeszcze ciepłą popielniczkę i mi ją podarował.

Jedziemy też przez EL HAMMA, KEBILI do DOUZ. Mijamy berberyjskie namioty, czyli wiaty ze skórzanym dachem bez ścian bocznych. W Douz przy "Wielbłąd Taxi" kończy się możliwość jazdy autobusem. Jest tam też restauracja, tj. pawilon o drewnianym stelażu obciążonym matami z liści palmowych. Tu kupuje się napoje z lodówki i róże pustyni. Przebrani w galabije i zawoje przesiadamy się na wielbłądy albo do dwukółek. Każdy wielbłąd ma na zadzie wypalony znak właściciela.



Sklepek z wyrobami garncarskimi; w tle nasz autokar

Nazajutrz jedziemy do MATMATA. Po zjechaniu z głównej drogi mamy górską, krętą drogę, którą docieramy do celu. Matmata jest miastem, którego stara część, to podziemne domostwa. Okrągły dół o prostopadłych ścianach stanowi patio. Z niego wchodzi się do pomieszczeń mieszkalnych i kuchni, które w tych "domach" są wydłubane w ziemi. Zaproszono nas do jednego z tych mieszkań. Wchodziło się schodami, które swój początek brały w sąsiednim, mniejszym dole o mniej stromych ścianach, potem krótki tunel i już patio. Ściany, stropy i otwory drzwiowe do przestronnych pomieszczeń są starannie wykonane. Wewnątrz było czystutko i przyjemnie chłodno. Mówili, że "dom wybudowano" 500 lat temu, i że oni już tu nie mieszkają na stałe. Zaczęliśmy się szykować do wyjścia, a pani domu stanęła przy wyjściu z miseczką na pieniądze. Biedni ludzie, nic tam nie urośnie, więc ratują się turystami, i mają rację. Myśmy też na tym skorzystali.

W sobotę 29 sierpnia wyjeżdżamy do Tunisu. Przed dziobem promu, w bezpiecznej odległości pływają delfiny. Tyle w nich radości życia! Szkoda, że ludzi tego nie potrafią nauczyć!

Dżerba za nami, a w Tunisie chłodniej. Po zachodzie słońca tylko 26°C.

W niedzielę 30 sierpnia moje imieniny i pożegnanie z Afryką. W ramach tych uroczystości dwie Arabki odtńczyły taniec brzucha.

Uwagi dotyczące Tunezji.

- Tunezyjczycy są bardzo uczynni i serdeczni.
- Porozumiewać się można bez problemów po francusku.



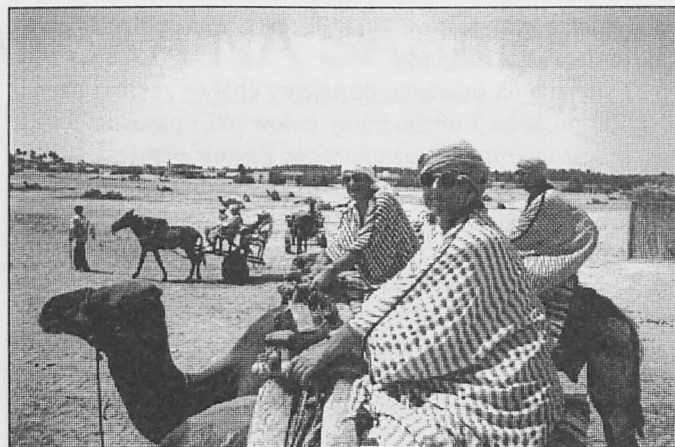
Monastir; na pierwszym planie mauzoleum poświęcone poległym w walce z Francuzami w latach 1938-52, w głębi lśni kopuła mauzoleum Burgiby

- W kawiarniach wszystkie miejsca okupują sami tylko mężczyźni arabscy. Tak było na całej trasie.
- Książki arabskie i gazety w porównaniu z naszymi zaczynają się od końca. Trochę dla nas dziwne, ale skoro piszą od prawej ku lewej, tak musi być.
- W ubikacjach tunezyjskich nie ma papieru toaletowego, tylko wąż ok 0,75 m długi, zakończony dyszką i sitkiem, podłączony do kranu. W ten sposób dokonywali rytualnej ablucji i nie potrzebowali papieru. Ubikacje są czyste i nie cuchną.
- Tunezyjskie dziewczyny garną się do nauki. Wiele z nich pracuje w policji. Podobno coraz więcej dziewczyn rezygnuje z małżeństwa. Prawnie obowiązuje jednożeństwo, ale półoficjalnie liczbę "żon" reguluje się chyba możliwościami finansowymi i fizycznymi. Spotykałam też kobiety bardzo zadowolone z małżeńskich zasad islamu.
- W państwowych sklepach typu "Cepelii" było drożej niż na suku, szczególnie po dobrym targowaniu się. Ale złoto i nieberberyjskie srebro lepiej tam kupować, bo jest gwarantowane.
- Na wybrzeżu okupowanym przez białych turystów spotyka się stroje kąpielowe od toples z trójkąciakiem, przez bikini, dwu i jednocześnie (Europejki) po jednocześnie z dodatkowymi czarnymi majtkami o obcisłych nogawkach do kolan, i normalne sukienki z długimi rękawami i chustą na głowie (wyłącznie Arabki).
- Wieczorem na ulicy tłumy ludzi. Większość z nich ozdobiona jaśminami, tzn. panie mają kolie jaśminowe albo bukciek w rękę, a panowie bukciek za uchem. Jest tłumnie, spokojnie, bez awantur, wszystko w odurzającym zapachu jaśminu.

W poniedziałek 31 sierpnia - program indywidualny, a po obiedzie wyjazd do portu.

22.15 - odpływamy do Trapani, gdzie jesteśmy 1 września o 9.00. Wracamy przez Monreale, Palermo, Cefalù, Messynę.

2 września o 11.35 jesteśmy na kontynencie, a o 13.40 - mamy niespodziewany postój w zatoczce autostrady - awaria autokaru. Jedziemy wynajętym autokarem do SORRENTO.



Stąd robimy wycieczki na Capri, do Pompejów, Neapolu i Amalfi.

7 września o 9.30 wyjazd z Sorrento do Wenecji, a stąd przez Wiedeń i Bratysławę do Cieszyna.

W środę 9 września o 23.00 jesteśmy przed Politechniką. W drodze Bożenka, Rysio i Bronek wygłosili przemówienia pożegnalne. Wycieczkowicze podziękowali śpiewem.

Kolejna podróż jest już przeszłością. Była wspaniała. Jest w tym zapewne bardzo dużo zasługi Rysia, który jest z natury skory do zabawy i potrafi tym zarazić innych. Dzięki zaś Bożence całość wycieczki trzymana była w ryzach. Mieliśmy czas na zwiedzanie, na odpoczynek, na kąpiele. Nie musieliśmy się spieszyć, ale też nie zmarnowaliśmy ani minuty. Wszyscy uczestnicy wykazali się dużym zdyscyplinowaniem i dużą tolerancją wobec cudzych słabości. Stanowiliśmy grupę rozśpiewaną. Marek nie tylko był zapiewająką, ale też pięknie recytował, Ninka na bieżąco uczyła nas historii, Elwira cały czas czymś częstowała, a Mirek rozśmieszał. Każdy miał swój wkład w stworzenie dobrego klimatu na wycieczce.

*Róża Janca-Brzozowska
Fot. Janusz Brzozowski
Wydział Elektryczny*

KOMPUTERYZACJA TO NIE WSZYSTKO

czyli refleksje z pobytu w bibliotekach Uniwersytetu Katolickiego w Louvain-la-Neuve (cd.)

W całym budynku Biblioteki nie ma wydzielonych pomieszczeń na czytelnie z dyżurującymi bibliotekarzami, tak jak w polskich bibliotekach. Czytelnicy mają do swojej dyspozycji szereg pojedynczych stolików, usytuowanych między regałami, które są rozmieszczone na terenie całej Biblioteki. Jednakże dla studentów, którzy chcą się uczyć w grupach, są do dyspozycji niewielkie salki, które mogą oni zarezerwować dla siebie w określonych godzinach.

Każdy zarejestrowany czytelnik, posiadający ważną kartę biblioteczną, ma prawo wypożyczać książki z Biblioteki na zewnątrz (z wyjątkiem tych, które są przeznaczone do korzystania na miejscu). Każdy z nich może wypożyczyć 5 książek na okres 2 tygodni, istnieje jednak możliwość dwukrotnej prolongaty na dalsze dwa tygodnie pod warunkiem, że książka nie została już zamówiona przez inną osobę. Żeby przedłużyć okres wypożyczenia książki wystarczy zgłosić ten fakt telefonicznie bądź poprzez pocztę elektroniczną; każde samowolne przetrzymanie grozi wysokimi karami pieniężnymi. Czasopism, zbiorów

specjalnych i prac doktorskich nie wypożycza się na zewnątrz. Wszystkie książki w Bibliotece są zabezpieczone przed kradzieżą poprzez namagnesowanie, podczas wypożyczenia bibliotekarz je rozmagnesowuje. Zwrot książek może nastąpić w dowolnej porze dnia, gdyż w czasie kiedy Biblioteka jest nieczynna, czytelnik może wrzucić książkę do specjalnej wrzutni umieszczonej w ścianie budynku. Wypożyczanie książek od roku 1998 odbywa się za pomocą systemu komputerowego LIBELLULE, który jest podłączony do sieci kampusu uniwersyteckiego, bądź przez INTERNET.

W przypadku braku poszukiwanej książki bądź czasopisma w Bibliotece, czytelnik ma możliwość sprowadzenia ich przez Wypożyczalnię Międzybiblioteczną. Usługi tego rodzaju, chociaż płatne, są tutaj bardzo popularne i z roku na rok liczba osób korzystających z Wypożyczalni Międzybibliotecznej rośnie. Przykładowo, w roku 1997 liczba takich osób zwiększyła się o 42% w stosunku do roku poprzedniego. Kierownictwo Biblioteki wychodzi z założenia, że bardziej opłaca się Bibliotece

książkę sprowadzić, nawet zza granicy, niż ją kupić; w efekcie taka polityka gromadzenia zbiorów pozwala na duże oszczędności finansowe.

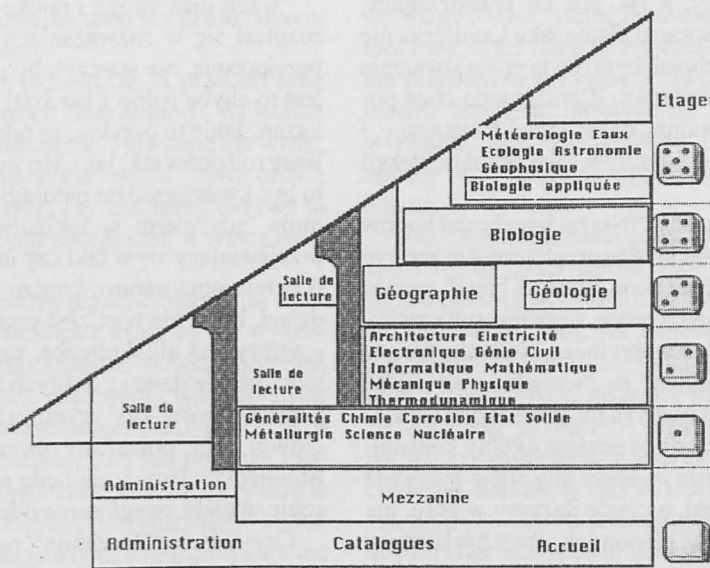
Wypożyczalnia Międzybiblioteczna korzysta w swojej pracy z dwóch belgijskich katalogów komputerowych: IMPALA (druki zwarte) i ANTILOPE (czasopisma). Program wypożyczeń międzybibliotecznych jest tak skonstruowany, że opłaty za usługi są rejestrowane automatycznie; w ten sam sposób Biblioteka rozlicza się kwartalnie z opłat za swoje usługi. Jeżeli pod koniec kwartału saldo Biblioteki jest dodatnie, otrzymuje ona notę kredytową, jeżeli ujemne - musi zapłacić rachunek wyrównujący. Czas realizacji zamówienia międzybibliotecznego wynosi przeciętnie dla książki 4 dni. W przypadku dzieł cennych i rzadkich istnieje możliwość wysłania specjalnego kuriera po jej odbiór do biblioteki macierzystej (na terenie Belgii), a dzięki systemowi ubezpieczeń, książkę zza granicy można sprowadzić bezpośrednio do biblioteki zamawiającej. Tą samą drogą użytkownik może zamówić czasopismo lub tylko kopię artykułu z czasopisma. Zamawiający, po wybraniu tytułu czasopisma z katalogu ANTILOPE, ma możliwość wyboru biblioteki, w której znajduje się dany tytuł, oraz sposobu realizacji swojego zamówienia. Może on otrzymać dokument w formie tradycyjnej, w formie jego kopii lub jako plik przesłany do jego osobistego komputera poprzez INTERNET. Opłaty, podobnie jak w przypadku książek, są automatycznie rejestrowane i rozliczane pod koniec każdego kwartału.

Biblioteki Uniwersytetu mają jeden wspólny budżet na zakup zbiorów, który jest dzielony na poszczególne biblioteki wydziałowe. Realizacją zamówień bibliotekarzy i pracowników naukowych zajmuje się CGD (Centre Generale Documentation). Głównym źródłem pozyskiwania zbiorów przez Bibliotekę Wydziału Nauk Ścisłych są dary od przedsiębiorstw, na rzecz których Wydział wykonuje prace badawcze, oraz od sponsorów prywatnych (w roku 1997 dary stanowiły ok. 60% rocznych nabytków). Rocznie kupuje się ok. 600-700 książek (każdy tytuł w 1 egzemplarzu) oraz prenumeruje ok. 500 tytułów czasopism. Wszystkie książki przyjęte do Biblioteki są katalogowane, dla większości z nich (ok. 85%) opisy katalogowe są kupowane i kopiowane z centralnego katalogu belgijskiego; w Bibliotece otrzymują one jedynie sygnaturę, hasło przedmiotowe i nalepkę identyfikacyjną.

W tej tak rozległej Bibliotece pracuje zaledwie 14 osób, co dla nas, bibliotekarzy z Polski, było dużym zaskoczeniem. Wśród tej grupy 3 osoby zatrudnione są jako dokumentaliści, 3 osoby pracują przy obsłudze stanowiska informacyjnego na parterze, 2 osoby zajmują się wypożyczaniem międzybibliotecznym, reszta to magazynierzy, księgowy oraz personel administracyjno-biurowy. Do prac magazynowych, jak i innych prac porządkowych w Bibliotece zatrudnia się studentów. Przyczyna tak niewielkiego zatrudnienia leży nie tylko w komputeryzacji i automatyzacji, lecz przede wszystkim w doskonałej organizacji pracy i maksymalnym wykorzystaniu każdego z pracowników. Żaden z bibliotekarzy nie jest tutaj "przypisany" do jednej

czynności, dzięki czemu każdy z nich doskonale orientuje się w pracy całego zespołu. Dyrekcja Biblioteki kładzie duży nacisk na stałe podnoszenie kwalifikacji swoich pracowników i zdobywanie przez nich nowych umiejętności. Służy temu system szkoleń wewnętrznych, zarówno fachowych, np. w obsłudze baz danych, jak i kursów językowych.

Biblioteka Wydziału Nauk Ścisłych nie zaniedbuje popularyzacji swojej działalności; w ramach promocji pod koniec każdego roku wydaje sprawozdanie ze swojej pracy, które otrzymują wszystkie zainteresowane wydziały i instytuty. Ich adresatami są także liczni, państwowi i prywatni, sponsorzy. Ekwiwalentem za ich świadczenia, finansowe i rzeczowe, na rzecz Biblioteki są różne formy satysfakcji i wyróżnienia, takie jak spotkania okolicznościowe w Bibliotece czy informacje o sponsorowaniu umieszczane w prasie bądź w lokalnej telewizji. W sprawozdaniach tych, oprócz danych statystycznych (stan zbiorów, nabytki, wypożyczenia, frekwencja) znajdują się informacje o personelu bibliotecznym (liczba etatów), rozliczenie rocznego budżetu oraz zamierzenia i plany Biblioteki na rok



następny. Promocji Biblioteki, jej zbiorów i form usług, służy także wydawany od lat wewnętrzny biuletyn biblioteczny "ECHO". Znaleźć tu można wszelkie informacje na temat pracowników Biblioteki, są także wiadomości o nowych nabytkach, interesujących adresach WWW i o możliwościach korzystania z baz danych. Całość, utrzymana w lekkiej i dowcipnej formie, powoduje, że sięgają po niego chętnie nie tylko pracownicy Biblioteki, ale także jej użytkownicy. Biblioteka w swojej strategii marketingowej wykazuje

też dużą troskę o sprawy związane z *public relations*. Jej dyrekcja stara się zainteresować sprawami bibliotecznymi nie tylko władze uczelni, wydziału, ale także całe środowisko campusu uniwersyteckiego.

Przy Bibliotece działa Komitet Biblioteczny, którego celem jest ustalanie i realizowanie polityki bibliotecznej; do jego zadań należy m.in. rozstrzygnięcie przetargów i wybór najlepszych ofert na zakup sprzętu komputerowego i oprogramowania. W jego skład wchodzi: prorektor Wydziału Nauk Ścisłych, dziekan tego Wydziału, dyrektor Biblioteki oraz 2 członków Komitetu Użytkowników. Zadaniem tego ostatniego jest wspomaganie pracy Biblioteki, a jego członkowie wywodzą się z najbardziej aktywnych użytkowników Biblioteki. Zajmuje się on m.in. zbieraniem uwag i postulatów od czytelników i przekazywaniem ich dyrekcji Biblioteki.

Podsumowując, trzeba stwierdzić, że Biblioteka Wydziału Nauk Ścisłych stanowi przykład świetnie zorganizowanej biblioteki naukowej. Wiele rozwiązań organizacyjnych, naukowych i ekonomicznych funkcjonujących w tej placówce może być przeniesionych na grunt polskich bibliotek w celu usprawnienia ich działalności.

Barbara Kaczor
Biblioteka Główna

Etyka a religia chrześcijańska we współczesnym świecie.

Czy postępujemy moralnie i zgodnie z nakazami naszej wiary?

Pozornie odpowiedź na pytanie postawione w temacie tej pracy jest łatwa i oczywista; najprościej przecież powiedzieć, że nikt nie jest doskonały i nie jest w stanie przestrzegać tych jakże wiekowych zasad, na które składa się 10 Przykazań Bożych. Tyle, że przeważnie ludzie czują się bezkarni i niewinni w obliczu popełnionych takich czy innych win. To z kolei narzuca myślenie o złej zazwyczaj interpretacji owych wspomnianych norm lub też po prostu o braku przywiązywania do nich wagi. Osobiście sędzę, że przeważnie pokutuje ta druga opcja. Chrześcijaństwo, jako religia bardzo wiekowa, nie legitymuje się czystym wizerunkiem na przestrzeni stuleci. Zawsze naginano zasady do danych warunków, wręcz wytwarzając przekonanie w społeczeństwie, że jest to normalne. Niemniej jednak to właśnie 10 Przykazań Bożych stanowi najstarszy chrześcijański kodeks moralny, a jak jest on przestrzegany, wszyscy zdajemy sobie z tego sprawę. Sama jako katoliczka nie jestem doskonała, dlatego nie chciałabym, by ta praca stwarzała wrażenie wielkiej mojej bogobojności. Zamiast tego chcę powiedzieć, że właśnie jest 20 grudnia, okres przed-świąteczny, i po prostu taki temat wydał mi się właściwy, jako chwila refleksji nad codziennym życiem.

Zatem na pierwszy ogień weźmy: "Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną"; interpretacja tego przykazania może być nie tylko dosłowna, ale pod pojęciem "innego boga" można rozumieć wiele rzeczy tworzących naszą współczesną rzeczywistość. Można posunąć się do swobodnego stwierdzenia, że takim codziennym "innym bogiem" są pieniądze stanowiące upragniony środek do osiągnięcia różnych innych korzyści, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, kiedy to poziom ogólny konsumpcji znacznie się podniósł. Już nie wyobrażamy sobie życia bez radia, telewizora czy samochodu, a ciągle dążymy w górę, nie znając praktycznie końca wszystkich potrzeb mniej lub bardziej ważnych. Oczywiście nikomu nie chcę sugerować życia bez środków masowego przekazu czy innych dóbr doczesnych, ułatwiających codzienne życie. Co więcej, sama prawdopodobnie bez tego wszystkiego nie wytrzymałabym długo, ale przyszło mi do głowy, że to po prostu bez sensu całe życie poświęcić osiągnięciu dóbr materialnych, by w końcu umrzeć, czyli teoretycznie odejść nie wiadomo dokąd. Czyż wobec tego nie ma większego sensu w rozwoju duchowym i przynajmniej teoretycznym wzbogacaniu swojego wnętrza? Może wtedy będziemy w stanie żyć pełniej, może będziemy więcej rozumieć, a więc może przypadkiem stałoby się tak, że zrozumielibyśmy też sens wiary w jednego Boga.

Inne znowu, zresztą znane pod prostą nazwą "drugiego przykazania" powiedzenie mówi: "Nie będziesz brał imienia Pana Boga twego nadaremno". Jakże staroświeckie i niemodne jest to przykazanie w dzisiejszych czasach, gdy tak często nadużywamy słów wzywających imię boskie. Nawet ja, pisząc tę pracę i zastanawiając się nad tymi słowami, łapię się na myśleniu, że takie nadużycie to w zasadzie nic wielkiego. Ale ten nakaz po coś istnieje... Już wiem chyba po co: czy przypadkiem nie ma na celu uczyć nas szacunku do naszej wiary? Wypowiadanie tych słów z czcią pokazuje wszem i wobec, że wierzy się w to, co się mówi, a przede wszystkim, że nie

lekceważy się przynależności do kościoła chrześcijańskiego. Wypowiadanie ich bez potrzeby daje przeciwne wrażenie...

Można chyba zasugerować, że z tym powyższym przykazaniem łączy się też: "Pamiętaj, abyś dzień święty święcił". Ja to rozumiem w ten sposób, że w takie dni powinno się więcej czasu poświęcić na relaks, jakkolwiek tego nie rozumieć, bo przecież każdy z nas ma swoją własną wizję odpoczynku. Gdy człowiek jest zrelaksowany i nie pochłonięty codziennymi troskami, więcej potrafi dostrzec i przemyśleć, zmienić. Właśnie chyba o to chodzi, by ten czas przyniósł nam odpoczynek duchowy. Ciekawe, ilu spośród nas potrafi tak naprawdę rzetelnie odpoczywać? Piszę szczerze, że pośród moich znajomych może jest taka jedna osoba. To bardzo przygnębiająca statystyka, nieprawdaż?

"Czcij ojca swego i matkę swoją"- pewnie gdyby człowiek rozpiął się w rozważaniach odnośnie do przytoczonego IV przykazania, nie starczyłoby pamięci w komputerze. Po prostu jest to chyba jedno z bardziej nadużywanych przez ludzi przykazań. Jakie to przykre, że tak naprawdę najczęściej nie szanujemy rodziców tak, jak na to zasługują. Oczywiście sporna może tu być kwestia rodzin patologicznych, ale przynajmniej według mnie, gdy cierpi w jakikolwiek sposób dziecko, jego bunt przejawiający się w taki czy inny sposób ma uzasadnienie. Ale, o przewrotna naturo, bardzo częste są przypadki poniżanych dzieci, które nie wiedząc czemu przeogromnie kochają matkę - agresywną alkoholicką, czy ojca - brutalą. Natomiast my, teoretycznie dzieci z dobrych domów, czy tak naprawdę szanujemy rodziców, czy jesteśmy pokorni wobec ich mądrości życiowej, czy potrafimy okazać im wdzięczność za to, że istniejemy? Tu już nie będę się wymądrzać; niech każdy sam sobie w głębi swego serca odpowie na te pytania.

Oczywiście "Nie zabijaj" najczęściej nie dotyczy przeciętnego obywatela; mam na myśli przestępstwo najwyższej kategorii, czyli odebranie życia ludzkiego. Można jednak zasugerować, że w każdym z nas tkwi zło i to, w jakiej formie się objawia, jest chyba mocno związane ze środowiskiem, z którego się pochodzi, lub w którym się przebywa. W ekstremalnych przypadkach agresja jest tak silna, że następuje jakieś bliżej nieokreślone zezwierzczenie, działa instynkt i po prostu łatwo



Rys. T. Sitek

przekracza się granicę moralną, związaną z chronieniem życia ludzkiego. To nie jest żadne usprawiedliwienie dla tych, dla których generalnie życie jako życie nie ma wartości. Przez to chcę powiedzieć, że niemoralne jest również zabijanie wszelkiego życia bez wyraźnej potrzeby. Jest teraz na ziemi tyle agresji, przemocy, wojen, morderstw, a przestępstwa różnego rodzaju traktowane są jak swoistego rodzaju odmiana sztuki. Kto robi to w bardziej wyrafinowany sposób, ten jest też bardziej nieuchwytny i wręcz zyskuje podziw otoczenia dla cech, które pozwalają mu takim być. A to na pewno jest równie niemoralne, jak samo występowanie przeciwko V przykazaniu.

Ciekawe za to jest właśnie "Nie cudzołóż". Odważyłam się na taki przymiotnik, bo to takie codzienne, jak wstawanie z łóżka, tyle że o wiele bardziej zajmujące. Bynajmniej w małżeństwie, sakramencie uświęconym, nie ma w cudzołóstwie nic fajnego rzecz oczywista, zwłaszcza że ktoś zazwyczaj cierpi z tego powodu. Ale środki masowego przekazu często kreują oparte na tym przykazaniu zabawne sytuacje życiowe. I właśnie sobie pomyślałam, że w tym może kryć się niebezpieczeństwo, bo skoro cudzołóstwo jest powszechnie lekceważone, to samo robi się powszechne, aż kiedyś staniemy wszyscy przed faktem, że będzie jak najbardziej normalne.

Tak częste jak cudzołóstwo są i kradzieże. A przecież nasz chrześcijański kodeks moralny mówi: "Nie kradnij". Są jednak ludzie, dla których te słowa nie znaczą nic. I już sama nie wiem, kto jest gorszy, czy ten co kradnie w tak zwane "żywe oczy", bo na przykład chce mieć super wóz, czy ten, który ukrywa to pod płaszczykiem wysokiej pozycji społecznej, a tymczasem wielu mu ufa.

"Nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu" - chyba nie ma na świecie człowieka, który by nie wykroczył przeciwko temu przykazaniu. Bardzo powszechne jest bowiem obgadywanie innych ludzi, najczęściej w nieczystych intencjach. Są i tacy, którzy chroniąc siebie, pakują w przykre sytuacje niewinne osoby, a sami najczęściej nie ponoszą żadnych konsekwencji. Może dlatego rzeczywiście przysłowie "Milczenie jest złotem, a mowa srebrem" jest słuszne. W końcu wskazuje na konieczność myślenia nad tym, co się mówi, a więc przynajmniej teoretycznie może zapobiec wielu przykrym sytuacjom, które z racji "fałszywego świadectwa" można komuś zafundować.

Już zbliżam się do końca i szczerze mówiąc dobrze dla mnie, bo jest 24. w nocy i czuję zmęczenie. Nie przeszkodzi ono jednak mojej pracy. Uparłam się, że dzisiaj skończę. Poza tym

to, że jestem zmęczona, nie zmienia faktu istnienia kolejnego przykazania: "Nie pożądaj żony bliźniego swego". I to jest przykazanie, którego faktycznie jest strasznie trudno przestrzeżać. Chyba rozumiem biednych mężczyzn, którzy po prostu z tytułu swojej - z przeproszeniem - samczej natury, oglądają się za paniami w takich czy innych zamiarach i po prostu czasami nie są w stanie przewidzieć, że oto ich przedmiot pożądania jest mężatką. A niestety, według naszej wiary już samo nieczyste myślenie jest grzechem. A więc panowie w zasadzie to sami grzesznicy bez wyjątku, bo niestety nie wierzę, iż żaden z nich, jako obiektu cichych westchnień, choć raz w życiu nie wybrał jakiejś szacownej małżonki. Recepty na myślenie i marzenia, jakiegokolwiek one by nie były, nie ma. Widocznie, już poważnie mówiąc, to przykazanie wymaga od człowieka pełnej samokontroli, a to jest trudne.

"Ani żadnej rzeczy, która jego jest" - ta kontynuacja IX przykazania wskazuje nam, że żyć powinno się, oczywiście teoretycznie, bez zazdrości, która jest motorem wielu złych czynów. Bo czyż nie zazdrością kierują się ludzie w dążeniu do różnych dóbr? Pół biedy, jeśli robią to uczciwie, w zasadzie nie szkodząc osobie, której zazdrozczą. Ale choć takie sytuacje są możliwe, są też rzadkie. Najczęściej pożądanie rzeczy bliźniego ma przebieg nieprzyjemny dla obu stron i może zakończyć się bardzo źle. Mam na myśli to, że w zazdrości można komuś wyrządzić krzywdę zarówno fizyczną, jak i moralną, przez choćby wyrabianie na temat rzeczony osoby nieprawdziwego zdania.

Nie odpowiedziałam jeszcze na pytanie, które samej sobie zadałam. Ale konkluzja wydaje się w zasadzie bardzo oczywista. Po prostu moralność to utopia. Jako istoty ludzkie jesteśmy tak samo doskonali, jak i niedościgani. Mam nadzieję, że ta wycieczka od I do X przykazania choć trochę wykazała, że po prostu z racji bycia doskonałymi, bo obdarzonymi rozumem, zwierzętami, jesteśmy i będziemy zdani na wieczną walkę pomiędzy myśleniem a instynktem. Oczywiście nic nie może chyba tak naprawdę usprawiedliwić mordu, kradzieży, łamania zaufania i innych antymoralnych zachowań. Ale jesteśmy tylko ludźmi i tak jedno, co możemy zrobić, to starać się żyć najlepiej jak można, według tych starych odwiecznych zasad, na które składa się właśnie 10 Przykazań Bożych.

*Dorota Czuchwicka
Studentka Wydziału Zarządzania i Ekonomii*

RODZINNA STRATEGIA GMINY

Politechnika Gdańska zaangażowana jest w problem strategii gmin poprzez m.in. Wydział Zarządzania i Ekonomii. Wg "Zarysu sterowania systemem ekonomicznym" A. Gościńskiego strategia to sztuka formułowania zbioru długookresowych celów, modyfikacji tych celów w zależności od zmian - głównie w otoczeniu systemu - określania zasobów niezbędnych do realizacji celów oraz polityki pozyskania zasobów, ich racjonalnego rozmieszczenia i wykorzystywania wewnątrz systemu. Innymi słowy - strategia to metoda realizacji celów.

Właśnie konieczność przyjęcia przez władze gminy określonej strategii realizacji swoich zamierzeń - a więc rozważenia, jakim sposobem pożądane cele osiągnąć w określonym czasie - różni obecne planowanie od dawnego, w którym dysponowa-

nie środkami było wyłączną domeną centrum, a gmina nie miała istotnego wpływu na tempo i sposób realizacji założonych celów.

Nadal obserwuje się, że rodzimy establishment czyni wszystko, aby wybór celów i ich modyfikacja zostały powierzone wykształconym ekspertom, nadając im wręcz prawo wyłączności realizacji tych zadań. Wobec mieszkańców np. niejednej gminy ziemskiej owi eksperci to ludzie z zewnątrz, np. z uprawnieniami do wykonania opracowań urbanistycznych. Dla utrzymania swej pozycji ograniczona została wręcz liczba udzielanych uprawnień. W tej sprawie dobrze zorientowania są m.in. pracownicy Wydziału Architektury PG z racji udziału w opracowaniu tzw. studium uwarunkowań i kierunków zagospodaro-

wania przestrzennego gminy. Studium to może być realizowane tylko pod kierunkiem urbanisty ze stosownymi uprawnieniami. Uprawnień nowych nie wydaje się i dostęp do zleceń mają wyłącznie urbaniści, którzy nie stosowali i nie zamierzają stosować metody *collaborative planning*.

Metoda *collaborative planning* zrywa bowiem z ekspercką dominacją w określaniu kierunków rozwoju, a nadaje priorytet w tym procesie mieszkańcom.

Czy Wydział Zarządzania i Ekonomii, formułując propozycje metod budowania strategii, sięga do metody *collaborative planning*? Brak przekonania w tej mierze graniczy z pewnością.

Na co może być skazane takie postępowanie? Rezultatem może być wyłącznie krótkookresowe zapewnienie przetrwania "szkoły tradycyjnej". Tradycyjna szkoła wyrosła bowiem z minionego scentralizowanego systemu zarządzania. Budowanie natomiast strategii rozwoju gminy w sposób niezależny od centralnych dyrektyw narzucanych mieszkańcom gmin przez czynniki zewnętrzne jest podstawą rynkowego systemu planowania. Prof. Jałowiecki z Uniwersytetu Warszawskiego w podręczniku pt. "Rozwój lokalny" pisze słusznie, że dominacja czynników zewnętrznych w realizacji zadań na danym terytorium nazywa się kolonizacją!

Eksperci od szeregu spraw w gminie są najczęściej czynnikami zewnętrznymi. Przeciwnieństwem jest decydowanie o swym losie przez mieszkańców, których woli podporządkowani są eksperci wykonujący zleczone im usługi. Tym sposobem nasza demokratyczna rzeczywistość próbuje bronić się przed zgubnymi skutkami kolonizacji.

Czyni tak np. gmina Kobierzyce w woj. wrocławskim. Gdy w Biuletynie Zamówień Publicznych gmina ta zamawia opracowanie strategii rozwoju lokalnego, dodaje, że ma być ono wykonane wg procedur Unii Europejskiej. Co to znaczy - "wg procedur Unii Europejskiej"? Mało kto wie.

Zdaje sobie z tego sprawę jednak sieć Fundacji FISE i zbiera sprzed nosa wszystkim chętnym zlecenia w tej sprawie. Dlatego ona taką strategię opracowuje już dla Darłowa i ma otwarte dalsze perspektywy. Fundacja ta mianowicie ma opanowaną metodę *collaborative planning*, polegającą na opracowywaniu strategii lokalnego rozwoju przy udziale mieszkańców. To mieszkańcy budują strategię rozwoju, bo ona ma służyć przede wszystkim ludziom miejscowym. To oni powiedzą ekspertom, co ich interesuje, co i dlaczego mają załatwić, aby żyło się lepiej.

Przeoglądam ofertę Fundacji Naukowo-Technicznej "Gdańsk". Załączony do niej schemat tworzenia strategii rozwoju ma przesądzone cele. Za tym pójdzie przesądzenie problemów lokalnych i sposób ich załatwienia. To musi się źle skończyć. Zamiast rozwoju powstanie konflikt, który jest barierą rozwoju. Ludzie z danej gminy mają inny pogląd niż ludzie z zewnątrz. To oni wiedzą, jakie problemy są dla nich najważniejsze, to oni znają lokalne realia, to oni przesądzą o dalszych losach programu i odrzucają propozycje, których nie mogą zaakceptować.

Trudne jest w polskich warunkach przeprowadzenie procesu planowania strategicznego w gminie metodą *collaborative planning*, gdyż warunkiem powodzenia tej metody jest aktywność mieszkańców. Potrzebna jest ich chęć do formułowania celów i szukania sposobów ich osiągnięcia. W okresie minionym ludzie przyzwyczajeni zostali, że ich inicjatywa jest zbędna

i wszystko winna zapewnić wszytkowiedząca władza. Może dla niektórych było to wygodne, ale czy nie zgubne? Nie rozumieją, że bez ich aktywności ta władza nie jest wszytkowiedząca i doprowadza do skutków niepożądanych, czego nadal wielokrotnie jesteśmy obecnie świadkami.

Ludzie nie wierzą, że ich wola może zostać spełniona i obawiają się, że kolejny zapał, zaangażowanie na nic się nie zda, bo tak naprawdę nic od nich nie zależy. Dlatego tak trudno jest w naszych lokalnych społecznościach opracować strategię lokalnego rozwoju wg procedur Unii Europejskiej.

W tej sytuacji słuszna metoda *collaborative planning* wymaga wsparcia z zastosowaniem procedur socjotechnicznych. Wychoząc z założenia, że najaktywniejszą grupą mieszkańców są twórcy, którzy mają swoje wizje, zamierzenia wynikające z głębokich, indywidualnych przemyśleń, należy zacząć od nich. Są to niejednokrotnie idealisci, ale to oni są w stanie zmieniać i odrzucać kokon skostniałych struktur. Do tej grupy można zaliczyć też czytelników bibliotek publicznych, nauczycieli, w tym nauczycieli akademickich. Należą do tej grupy ludzie kultury.

Do tych grup ludzi zastał zaadresowany program pn. "Rodzinna strategia gminy", zmierzający do zaaranżowania takich działań organizacyjnych, które doprowadzą do zaktywizowania mieszkańców przy formułowaniu strategii rozwoju lokalnego metodą *collaborative planning*.

Wskazane wyżej grupy mieszkańców gmin mają swoje rodziny. Wiadomo, że opracowanie strategii rozpoczyna się od diagnozy stanu aktualnego. Najistotniejsze dla gminy są problemy, które nurtują rodzinę: to tam swój rezultat przenosi brak dostatecznej liczby miejsc pracy w gminie, to tam piętno wywiera poziom zarobków, utrudnienia urzędników np. skazujących nas na mitręgą usianą drogę uzyskania pozwolenia na budowę, widać jak na dłoni problemy komunikacyjne, zdrowotne, żywieniowe,

edukacyjne itd. Rodziny ludzi twórczych będą miały chęć podzielenia się swymi najistotniejszymi problemami w formie artykułów prasowych skierowanych do prasy lokalnej, w wyniku konkursu ogłoszonego np. przez miejscową bibliotekę publiczną.

Nagrodzenie przez gminę najszerzych i cennych wypowiedzi, okraszonych fotoreportażem, tekstem satyrycznym czy filmem video, pozwoli wykreować problemy strategiczne gminy, które najostrzej dostrzegają aktywni mieszkańcy. Zapraszając ich wraz z rodzinami do formułowania celów w grupach problemowych Rady Programowej Strategii Gminy, zapewnić można nie tylko załatwienie rodzinom szeregu problemów dręczących je od lat, ale zagwarantować (wyzwolić) trudną do osiągnięcia aktywność.

Tym różni się osiągnięty rezultat od sformułowanego przez ekspertów, że dokonania będą akceptowane i broniące przez ludzi stąd. To zaś zapewni trwałość władzy, jeśli zechce podjąć ona trud opracowania rodzinnej strategii gminy.

Ryszard Burchard
Główny specjalista ds. zamówień publicznych PG

PS. W listopadzie 1998 r. zostałem laureatem nagrody Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Centrum Animacji Kultury za program "Rodzinna strategia gminy" zaprezentowany wspólnie z Wojewódzką Biblioteką Publiczną w Gdańsku.



Rys. T. Sitek

OPOWIEŚCI KREŚLARNIANE (6)

Przekonujące metody

Henio był kolegą z roku. Blondyn średniego wzrostu, o wysokim czole i gładko zaczesanych do tyłu włosach. Jego niebieskie oczy dobrze pasowały do zawsze przyjaźnie uśmiechniętej twarzy. W naszych burzliwych dyskusjach na tematy polityczne z reguły nie zabierał głosu, tylko z pobłażliwym uśmiechem przysłuchiwał się naszej ostrej krytyce władz. Drażniło nas to nietypowe zachowanie, raz wręcz zapytaliśmy go, co jest tego powodem, gdyż nie wyglądał na entuzjastę nowego ustroju. Odpowiedział nam, że to jest długa historia. Może kiedyś nadarzy się właściwy moment, to wówczas nam wszystko wyjaśni.

I oto jednego dnia, gdy byliśmy tylko w gronie kilku przyjaciół, nastąpiło to przyobiecane "kiedyś" i usłyszeliśmy tę wręcz nieprawdopodobną historię.

"Działo się to we Lwowie w październiku 1939 roku. Byłem wówczas uczestnikiem kursu wstępnego na Politechnikę i zdawałem egzaminy wstępne. Wykłady się jeszcze nie zaczęły. Uczelnia funkcjonowała mocą inercji jeszcze w starej strukturze, ale władza radziecka zaczynała już krzepnąć. Wraz z grupą kandydatów mieszkaliśmy w sąsiadującym z Politechniką domu akademickim. Tam w holu ukazało się jednego dnia zaproszenie na mające się odbyć w auli uczelni spotkanie z nowymi władzami. Zainteresowało to nas i postanowiliśmy wybrać się tam wraz z grupą mieszkających z nami studentów starszych lat. Ciekawi byliśmy nowych władz - Sowietów byli dla nas kompletną egzotyką, widok żołnierzy Armii Czerwonej dziadwosko ubranych, z karabinami na sznurkach, nastrajał nas raczej do kpín.

Weszliśmy na salę i siedliśmy razem całą naszą grupą. Sala nie była dekorowana, na podium stał tylko duży stół, a obok wojskowa orkiestra grała dziarskie marsze. Zauważyliśmy, że żołnierze mają zielone wyłogi. Nastrój na sali był raczej przyjemny, ciekawiło nas, co będzie dalej. Za stołem zaczęło się gromadzić około dziesięciu osób. Część była w mundurach i czapkach, reszta to cywile, z reguły ubrani w skórzane kurtki, wielu z nich o wybitnie semickich rysach.

Orkiestra zagrała Międzynarodówkę, członkowie prezydium podnieśli zaciśniętą prawą pięść. Część sali ich naśladowała. Po chwili wahania, by się nie wyróżniać postąpiliśmy podobnie i my, ale dla śmiechu trzymając się za ucho. Byliśmy w dobrym nastroju. Wstał jeden wojskowy i powiedział, że jest wyznaczony przez polityczny wydział armii na komisarza Politechniki Lwowskiej.

Komisarz, w krótkim wprowadzeniu wygłoszonym po rosyjsku, uświadomił nas o dobrodziejstwach wynikających z wyzwolenia Zachodniej Ukrainy z niewoli polskich panów, o likwidacji burżuazyjno-obszarniczego ucisku, o niezwyciężonej Armii Czerwonej - najkulturalniejszej armii całego świata. Po wstępie przeszedł do właściwego tematu - prześladowania na Politechnice Żydów przez polskich faszystów. Po zakończeniu komisarz wezwał obecnych na sali do zabrania głosu. Dodał, że dla ułatwienia można przemawiać w swoim języku, w prezydium są towarzysze znający dobrze ukraiński i polski.

Pierwszy zgłosił się Żyd i kontynuował temat, mówiąc o prześladowaniach go przez faszystów. Następnym mówcą był Polak, przedstawił się jako Janek Krasicki, przedstawiciel Komunistycznej Młodzieży. Przemawiał ze swadą w dobrej polszczyźnie, o zorganizowanym prześladowaniu na Politechnice Lwowskiej Żydów: "Nielza gawarít żyd - gawarí jęwrej" - przerwał mu pan komisarz. Wyjaśnił, że Żyd to jest termin obraźliwy odnoszący się do ciemnego, brudnego, pejsatego osobnika w chałacie. Krasicki usiłował wytłumaczyć mu, że w języku polskim słowo "jęwrej" jest obraźliwe, a powinno się mówić "Żyd". "Małczy swołocz, gawarí jęwrej" - zakrzyknął ostro komisarz. Krasicki nie dał się zapeszyć i w dalszej części przemówienia używał słowa "Izraelici". Podobało się nam to rezolutne zachowanie mówcy i nadal byliśmy w doskonałym nastroju. Nie trwało to długo. Zabrał głos kolejny Żyd i powiedział, że tutaj na sali są ci faszyci. "Dawać ich tutaj" - krzyknął komisarz. Na to grupa Żydów rzuciła się na jednego studenta, wyciągnęła go z rzędu krzeseł, bijąc i szarpiąc zaciągnęła go do prezydium. Chłopiec ten, cały zakrwawiony, w porwanym ubraniu, przerażony niespodziewaną napaścią, usiłował tłumaczyć, że nie jest faszystą, a znają go stąd, że jest prezesem



*Katedra Elementów Maszyn
- rok 1948. Na zdjęciu od prawej:
prof. Adolf Polak, Tadeusz
Gerlach, HENRYK PLETY,
Kazimierz Iwanowski, Kazimierz
Zygmunt i Henryk Więckiewicz*

Bratniej Pomocy. "Małczy swołocz" - krzyknął znów komisarz i kazał żołnierzom wyprowadzić chłopaka z sali. Polowanie na czarownicę trwało nadal - wyciągnięto z sali jeszcze trzy osoby. Pobitym i zakrwawionym nie pozwolono nic powiedzieć w swej obronie i wyciągnięto ich z auli; Żydzi nadal rozglądali się po sali. Teraz oni byli panami i wyrównywali z nadwyżką stare porachunki. W obliczu tego terroru odeszła nam ochota do śmiechu. Rozglądałam się dookoła i widzę, że siedzący z tyłu Żyd przygląda się wrogo naszej grupie i na pytanie powtórzone przez komisarza, czy są jeszcze tutaj faszyci, patrząc na nas, zaczyna się podnosić z krzesła. Uprzytomniłem sobie groźące niebezpieczeństwo i natychmiast wskazałem to mojemu sąsiadowi. Ten zorientował się w okamgnieniu. Odwrócił się do tyłu i wbił swój wzrok we wstającego już oskarżyciela. Siła jego wzroku była tak wielka, że Żyd ten zawahał się i usiadł. Jeszcze dwa razy się podnosił i siadał ponownie - chęć zadenuncjowania walczyła ze strachem. Pojedynek na chwilę został wygrany, ale co będzie dalej? Szczęśliwie orkiestra zagrała właśnie Międzynarodówkę. Teraz już wszyscy karnie podnieśli pięść, nikt nie trzymał się już za ucho. W tym czasie dało się słyszeć z kory-

tarza kilka wystrzałów rewolwerowych. Zebranie było zakończone. Wychodziliśmy z auli psychicznie sparaliżowani, z opuszczonymi głowami, baliśmy się nawet spojrzeć sobie w oczy.

Otwarte były tylko jedne drzwi, za nimi zastawione były ławkami boczne korytarze tak, że była możliwa tylko jedna droga wyjścia. Wiodła ona koło kaloryfera, pod którym leżały na podłodze, w kałuży krwi, ciała zamordowanych kolegów. Szpaler żołnierzy pilnował, by wszyscy przeszli blisko zwłok.

Organizatorem tego pokazowego seminarium na temat praktycznej realizacji zasad sprawiedliwości socjalistycznej udało się w pełni osiągnąć zamierzony cel dydaktyczny. Byliśmy przerażeni, kompletnie załamani i widzieliśmy, czego się możemy spodziewać w przyszłości, gdy niesprawdzona nawet denuncjacja była jednoznaczna z wyrokiem śmierci. Postanowiłem natychmiast uciekać spod sowieckiej okupacji i już za dwa dni udało mi się przekroczyć granicę i dotrzeć do Warszawy" - zakończył Henio. Cdn.

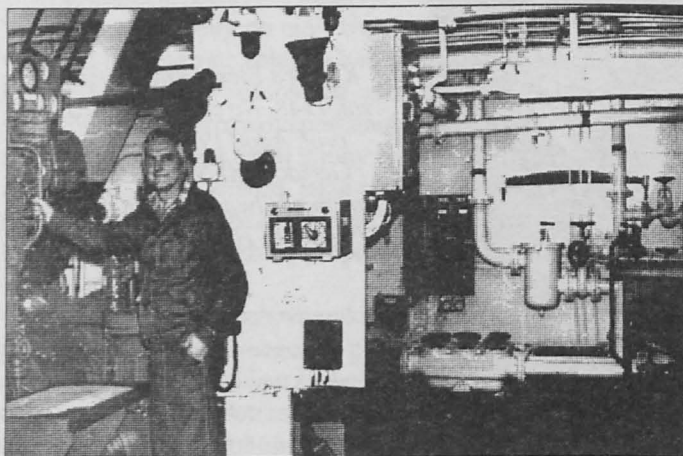
*Kazimierz Iwanowski
Wydział Mechaniczny*

Obrazki z zawodowego życia absolwenta (cd.)

Opiszę tu mój ostatni wyjazd służbowy, nieco odmienny od poprzednich. Na przełomie lat 1988-89 zbudowano w Stoczni Północnej okręt szkolny dla syryjskiej marynarki wojennej. Miałem w tej budowie spory udział przy regulacji i próbach dwóch równoległych układów napędowych z unowocześnionymi silnikami serii "Z" typu "ZGODA-SULZER". Nie byłem już pracownikiem ZUT ZGODA, ale znałem budowę i działanie tych silników, prócz prób, brałem też udział w szkoleniu syryjskiej załogi maszynowej, obejmującej okręt. Oficerowie tej załogi pokończyli szkoły morskie w ówczesnym ZSRR i znali język rosyjski, więc w tym języku odbywało się szkolenie. W grudniu roku 1988 okręt był gotów do odejścia i w umowie było odprowadzenie go do Latakii przez grupę przedstawicieli Stoczni, złożoną ze specjalistów i marynarzy. Syryjska załoga miała się wprawiać w obecności stoczniovców w obsłudze jednostki podczas dziewiczego rejsu. Wszedłem w skład tej stoczniowej ekipy. Polakami byli kapitan, radiooficer, mechanicy wachtowi, monterzy, elektrycy, budowniczy i przedstawiciele komórek handlowych, bo ostateczne formalne przejście okrętu miało nastąpić w Latakii, po usunięciu ewentualnych usterek, ujawnionych podczas rejsu. Przed wypłynięciem, po podniesieniu bandery, odbył się socjalistycznym

obyczajem bankiet w dużej, gdańskiej restauracji, na który i ja zostałem zaproszony. Co zasłużeńsi przy budowie i szkoleniu otrzymali od Syryjczyków upominki. Ja dostałem błyszczący wschodnim przepychem materiał na wizytową suknię dla żony. Suknię uszyto, ale nieczęsto była używana, bo czasy i moda się zmieniły. Podobno też krawcowa ją nieco sknociła i źle leżała. Wypłynęliśmy w podróż dookoła Europy 21 czy 22 grudnia, a więc Boże Narodzenie i Nowy Rok miały nas spotkać w morzu. Wypłynięcie miało nastąpić wcześniej, ale przy odprawie celnej wykryto w ładowni cały skład rowerów, pralek, lodówek, telewizorów i innych drogich przedmiotów, kupionych przez syryjską załogę w Polsce, bo diety były dość wysokie i można było sobie na to pozwolić. Były te zakupy trochę dla siebie, a trochę na handel. Celnicy to zakwestionowali, a na cło nie było już gotówki. Sprawa oparła się o Centralny Urząd Celny w Warszawie. Ponoć jeździł tam i wysoki przedstawiciel syryjski, i dyrektor Stoczni, czekaliśmy na decyzję chyba dwa dni i widać to jakoś załatwiono, bo wypłynęliśmy. Nie pamiętam, czy celnicy wyładowali zakwestionowany towar, czy raczej zawarto inną jakąś ugodę dla przyjaźni polsko-syryjskiej?

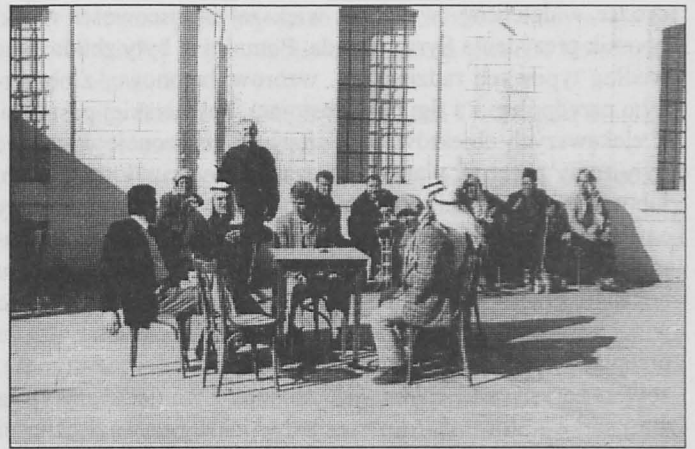
Początek rejsu nastąpił przy ładnej pogodzie. Mimo że przez 40 lat miałam do czynienia z szeroką wodą, nie umiem opisywać uroków podróży po morzu. Bezkręś wód jest dla mnie monotonią. Sztormów i wysokich fal się boję. Każdy dzień na statku jest dla mnie jednakowy, nigdy nie pasjonowałem się żadną walką, a więc i walka z żywiołem nie jest mi atrakcją, ani sprawdzeniem swoich możliwości. Jedyną atrakcją i ucieczką od monotonii są posiłki i ewentualne usuwania niesprawności w mechanizmach. Wątpliwej wartości to rozrywki. Do tego najciekawsze rejony naszej podróży, a więc kanał La Manche i Gibraltar, mijaliśmy ciemną, bezksiężycową nocą. Zarys góry gibraltarskiej był ledwo widoczny na tle łuny od oświetlenia elektrycznego okolicy. Zatoka Biskajska, na której jakoby zawsze szaleją sztormy, minęła nam w ciszy i niezauważona. Trochę sztormu było na Morzu Północnym i w zachodniej części Morza Śródziemnego, ale krótko i niezbyt mocno. Poza tym tylko woda, woda i woda.



Autor w maszynowni przy silniku głównym



Stoczniovcy na tle okrętu i palmy w Latakii



Typowy obrazek z Latakii - Syryjczycy i autor

Każdego dnia chodziłem na mostek rano i wieczorem, aby odczytać pozycję jednostki, szybkość, kurs i obliczyć sobie, ile już ubyło. Notowałem sobie te dane w notesie. Gdy przechodziliśmy przez cieśniny duńskie wykryłem, że rzeczywisty kurs odbiega od zaplanowanego. Przeniósłszy to na mapę stwierdziłem, że idziemy wprost na zderzenie z duńską wyspą, do której było tylko kilka mil. Było ciemno. Zwróciłem na to spostrzeżenie uwagę syryjskiego oficera nawigacyjnego, który umiał po rosyjsku. Skontrolowawszy stan rzeczy nakazał natychmiast sternikowi korektę kursu, a mnie pochwalił słowami: "ot, maładiec", co znaczy: "ot, zuch". Pochwaliłem się kolegom, że mechanik poprawiał nawigatora i uchronił okręt od wejścia na mieliznę, albo i od czegoś gorszego. Zbliżyła się wigilia. Mieliśmy sporo produktów żywnościowych własnych, a więc była i polska wieczerza, i choinka, i opłatki. Śpiewaliśmy też polskie koledy przy okrętowym pianinie, z moim oczywiście graniem.

Cóż mogę jeszcze o tym rejście napisać? Mijaliśmy widoczną z dala jakąś wyspę grecką, którą rozpoznaliśmy na mapie. Szliśmy pod koniec trochę dziwnym kursem, bo Syryjczycy obawiali się izraelskiej marynarki wojennej i samolotów. Mówili, że mogą nastąpić gesty wrogości. Jednak dopłynęliśmy do Latakii po dwunastu dniach bez przeszkód i bez awarii. Między wpływieniem do portu a powrotem do Polski minęło znowu kilka dni, bo czekaliśmy na dostawę ze Stoczni kilku części do wymiany, a potem trzeba było je wmontować. Razem z częściami przyleciał przedstawiciel dyrekcji Stoczni, aby być obecnym przy podpisaniu ostatecznego protokołu i omówić końcowe uzgodnienia gwarancyjne.

Te kilka dni zużyłem na spacerowanie po Latakii, na robienie zdjęć i załatwianie drobnych zakupów. Sprzedałem też syryjskim marynarzom co się dało z moich zbędnych rzeczy. Inni czynili to samo, i to na ogół w dużo większym zakresie niż ja. Syryjczycy kupowali wszystko "jak leci" i targowali się zawzięcie o każdy grosz.

Znalazłem w Latakii katolicki kościół i poszedłem w niedzielę na mszę odprawianą po arabsku. Ceremoniał był troszkę inny niż środkowoeuropejski. Było więcej śpiewu i czynnego uczestnictwa wiernych (jak na owe czasy). Bliższy był też kontakt między uczestnikami a celebransem. Powiedziałem o tym kościele na statku, ale prócz mnie nikt na nabożeństwo nie poszedł. Może nie czuli potrzeby, a może dla nich msza nie po polsku była pogańska? A w ogóle, to przykro było patrzeć, bo znakomita większość polskiej grupy spędzała każdą wolną chwilę przy kielichu, bo wódki z kraju nabrali mnóstwo. Oprócz służbowej wachty maszynowej niemal wszyscy byli, jak już raz napisałem, na zmianę albo na rauszu, albo na kacu. Szczególnie w porcie, bo podczas rejsu trzeźwa była też wachta na mostku.

I w takiej, właśnie portowej atmosferze przebiegł przeszło tygodniowy pobyt w Latakii. Kupiłem w tych dniach sobie dobry, japoński kalkulator, zionie kilka par włoskich rajstop i parę paczek suszonych fig. Prawdę rzekłszy, niewiele było tam atrakcyjnych towarów i lepiej było dolarowe diety przywieźć do Polski. Figi w domu okazały się wszystkie robaczywe. Odkryliśmy to po zjedzeniu kilku paczek i ostatnie dwie zjadłem już sam, bo reszta domowników się brzydziła. Bardzo lubię figi i dokładnie wybierałem małe liszeczki przed zjedzeniem. Nikomu zresztą one nie zaszkodziły.

Utkwił mi w pamięci obraz z Latakii, dotyczący jeżdżących tam samochodów. Były to w większości zupełne wraki z odpadającymi błotnikami, niesprawnymi światłami i porzewiałe w niewyobrażalny dla Europejczyka sposób. Nikt nie przestrzegał żadnych drogowych przepisów i nikt ich nie pilnował. Widziałem też mnóstwo ludzi beczynnie wałęsających się po ulicach, albo godzinami siedzących i leżących gdzie popadło. A że nie wyglądali na wynędzniałych i zagłodzonych, to zastanawiałem się, z czego oni żyją? Chyba tylko z dotacji państw socjalistycznych, łączących na ten bastion komunizmu na Półwyspie Arabskim.

Jednego dnia przyszedł do portu jakiś mieszkaniec Latakii i przyglądał się z widocznym zadowoleniem nowiutkiem okrętowi. Widząc mnie wychodzącego, zagadnął mnie słabą polszczyzną. Powiedział, że okręt mu się podoba i przyszedł go zobaczyć, bo jego żona jest Polką. Nie był już młody. Dogadał się, że poznał swą żonę podczas pobytu wojsk polskich, które wyszły z ZSRR podczas ostatniej wojny światowej.

Powrót do Polski rozpoczął się dla naszej grupy autobusem syryjskiej marynarki, w lepszym stanie niż wyżej opisane samochody, który dowiózł nas do Damaszku na lotnisko. Po



Katolicki kościół w Latakii

drodze widzieliśmy w każdej większej miejscowości wielki pomnik prezydenta Syrii, Assada. Pomniki te były zbudowane według typowych radzieckich wzorów, betonowe, z obszernym przedpołem i z figurą w dostojnej, bohaterskiej postawie. Z ciekawszych obiektów, to z szosy na horyzoncie widoczne były ruiny potężnej warowni z czasów wypraw krzyżowych, lub władzy rycerskich zakonów. Pokazano nam też starożytny amfiteatr w ładnym otoczeniu, ale bardzo zaniedbany. W Damaszku przeprowadzono nas do polskiego, rejsowego samolotu bocznym przejściem, omijając komorę celną. Nie wiem, kto co wioził trefnego w porozumieniu z Syryjczykami, wiem tylko, że przepisy celne Syrii były wówczas bardzo ostre i rygorystyczne, zbyt rygorystyczne chyba, jak na interesy między syryjską marynarką a Stocznia. Może też to był jakiś gest wdzięczności za ułatwienie spraw celnych w Polsce? Samolot wylatywał wieczorem i miał międzylądowanie w Larnace na Cyprze i w Burgas w Bułgarii. W Larnace kilku naszych nie mogło sobie odmówić wypicia paru butelek cypryjskiego piwa, które oczywiście było stosunkowo drogie, jak to bywa w lotniskowych bufetach. Furda, że drogie, ale co za wspomnienia! Piło się piwo na Cyprze!!!

W tym miejscu ciśnie mi się na papier dygresja, bo coś podobnego widziałem w polskich Tatrach. Byłem na Kasprowym Wierchu, gdy kolejną kolejką wjechała na szczyt grupa Górnolazaków; poznałem ich po mowie, którą znałem z kontaktów służbowych. Mieli oni bilety powrotne na wagonik odjeżdżający w dół za dwadzieścia minut. Wszyscy, po wyjściu z kolejki, pognali klusem do bufetu i każdy zamówił butelkę piwa, albo i dwie. Wypili je siedząc kulturalnie przy stolikach

w bufecie i nie wychodząc na zewnątrz. Gdy pić skończyli, znowu klusem pobiegli na stację, aby zdążyć na swój wagonik. Może myślę niedemokratycznie, ale po co takim kolejka na Kasprowy Wierch? Koniec dygresji.

Wracaliśmy więc do Warszawy. W Burgas lądowaliśmy po ciemku. Był przecież już koniec stycznia. W Warszawie znaleźliśmy się późnym wieczorem i czekaliśmy długo na autobus ze Stoczni, który według umowy miał po nas przyjechać. Nadjechał już rano. W którejś restauracji po drodze większość towarzystwa zjadła obiad, oczywiście zakrapiany. Długo on trwał. Ja zostałem w autobusie i zjadłem kanapki, które przygotowałem sobie jeszcze w Latakii. Miałem też termos z herbatą. Zawsze byłem skąpy na wystawne, restauracyjne posiłki, a tym bardziej w towarzystwie, w którym każdy ma ambicje wypić i postawić. Wróciliśmy do Gdańska po całodobowej podróży dwoma autobusami i samolotem bardzo zmęczeni.

W dwa miesiące po powrocie z Syrii przeszedłem na emeryturę. Było to w pięć miesięcy po osiągnięciu 60 lat, czyli stocznioowego wieku emerytalnego. Było to też w czasie, gdy był wysoki przelicznik emerytalny, powstały w wyniku wysokiej inflacji. Razem z podwyższoną średnią zarobków, jaką stworzyły nadgodziny w rejsie, emerytura wypadła nie najgorzej. Pięć lat pracowałem jeszcze w Stoczni na pół etatu, a gdy to piszę, mija już pięć lat mojego służbowego nieróbstwa. (Dokończenie nastąpi).

*Krzysztof Targowski.
Absolwent Politechniki Gdańskiej*

Magister (cd. z nr 9/98)

MIEJSCE W AKADEMIKU

Moje pierwsze kroki w obcym mieście. Zrezygnowałem z tramwaju, do akademika było kilka skrzyżowań przez śródmieście. Po raz pierwszy patrzyłem na tak rozległe góry rumowisk: żelastwo, beton, cegły. W szkieletach ścian, w pustych oczodołach okien zamieszkał jasny błękit nieba. Z ciemnych czeluści piwnic wiało chłodem. W hałdy gruzu wcisnęły się już gęste kępy chwastów, tu i ówdzie rosły drzewka. Dopiero w tym miejscu zrozumiałem, jak łagodnie przewaliła się machina wojny przez moje miasto.

Z popękanych fasad ocalałych domów, z wypalonych kościołów, starych bram miejskich, poszczerbionych murów starówki, dziwiły się mojemu przybyciu minione wieki tego sławnego grodu.

Po długim marszu dotarłem do akademika, okazałej willi na łagodnym zboczu wzgórza otoczonego starymi kasztanami. Z okien budynku podziwiałem daleką, szeroką panoramę wielkiego miasta. Starówka jeszcze w gruzach, ale dzielnice peryferyjne żyły już nowym życiem. Szyby okien błyskały zachodem słońca, nad dachami unosiła się nieruchoma mgiełka dymu. Ponad zarysy bliskich budowli wyrastały wyraźnie masywne mury i strome dachy uczelni. Uczelnia podziwiana z okna willi napawała dumą. Przyjechałem, by w tych masywnych murach - przez wiele lat, dzień po dniu - zdobywać wiedzę.

Zapukałem do ciężkich, rzeźbionych drzwi pokoju. Czterech mieszkańców pomieszczenia, siedząc przy okrągłym stole, grało w brydża. Odwrócili głowy w moim kierunku, po czym natychmiast powrócili do gry. Piąty mieszkaniec pokoju spał. Leżał na łóżku z otwartą książką i ołówkiem w ręce.

- Witaj, przyjacielu! - zwrócił się do mnie najstarszy z grających. Nie odrywając oczu od kart, wskazał ruchem głowy wolne łóżko i w kierunku szafy:

- Oto ostatnie wolne łóżko i ostatnia wolna szafa! Powinieneś się cieszyć, przyjacielu, że jest na świecie jeszcze coś wolnego, coś co można zająć bez wojny.

Pozostali, pochłonięci grą, nie zwracali na mnie w ogóle uwagi. Tłusty blondynek w okularach, siedzący plecami do drzwi, nucił cicho, powtarzając bez przerwy te same zdania:

- Młoty w dłoń, kujmy broń, tarara...

Kiedy blondynek na chwilę zamilkł - licząc zdobyte punkty - jego sąsiad pokrzykiwał głośno, tworząc z wypowiedzianych słów melodyjny rytm:

- Hej ho, hej ho!...

Otwierając drzwi przydzielonej szafy, głośnym skrzypieniem obudziłem śpiącego. Zdumiony śledził bacznie moje ruchy. Kojarzył moją obecność w pokoju z wolnym łóżkiem. Zadał kilka pytań. Podsunął mi książkę pod nos, wskazał podkreślone zadania. W kilku słowach wyjaśniłem, jak należy takie zadania rozwiązywać.

- Fantastyczne! - wykrzyknął, siadając na łóżku.

Podał kartkę z tematem i niecierpliwie czekał na wynik. Z pamięci wypisałem wzór wyjściowy, przekształciłem do użytecznej formuły, wstawiłem w miejsce symboli właściwe cyfry i zaokrąglając wynik, otrzymałem ostateczną odpowiedź. Zadanie i wynik zilustrowałem prostym szkicem.

- Fantastyczne! - powtórzył, gdy porównał mój wynik z wynikiem w książce.

Wygłosił długi filozoficzny monolog:

- Geniuszu! Po kiego diabła chcesz się jeszcze uczyć? Posiadłeś wszystko, co do życia potrzebne. Masz dyplom technika w kieszeni, możesz forsę zarabiać. Czego jeszcze pragniesz? Jakie losy gnają ciebie, przyjacielu, taki kawał świata, żeby w tej śmierdzącej budzie obijać się o głódzie i chłodzie jeszcze kilka lat? Jałowe, stracone lata! Możesz przecież pracować w przemyśle i żyć jak lord. Co innego my po ogólniakach. Możemy najwyżej za biurkiem siedzieć, melancholijnie w stołki popierdywać i łokcie wycierać. Oto zakichany los młodego człowieka z wykształceniem ogólnym.

- Zmień temat albo mów ciszej! - wtrącił najstarszy z grających. Cała piątka oblała mechanikę po drugim semestrze i przygotowywała się do powtórzenia egzaminu. Grający w karty uznali, że są dostatecznie przygotowani. Natomiast Antek przewracał kartki podręcznika, wkuwał na pamięć wzory i kłął nieprzyzwoicie. Pokazał małeńki rulonik zapisany kolumienkami cyfr i wzorów:

- Oto moja pomoc naukowa! Wykołuję starego Kulfona, nawet nie będzie wiedział jak i kiedy.

Pokrzepiony własnymi słowami, po chwili cichego mamrotania zasnął ponownie. Rozpakowałem przywiezione z domu kanapki. Chudy brunet - którego nazwałem "Teraz ja", gdyż jedynymi słowami padającymi z jego ust były właśnie słowa: teraz ja! - zachęcił mnie uprzejmie do skorzystania z jego kubka, grzałki, herbaty i cukru. Gdy uparcie odmawiałem dziękując, przerwał na chwilę grę, podszedł do szafy, wyjął to wszystko i postawił przede mną na stole. Jego gest sprawił, że poczułem się nagle jednym z nich.

Zapadł wrześnieowy wieczór. Wyszedłem na spacer. Schodziłem ulicą do śródmieścia. Ulica tonęła w mroku. Pierwszy raz spacerowałem nocą w obcym mieście. W każdą następną uliczkę wchodziłem po raz pierwszy i pierwszy raz przyglądałem się z przejęciem zasypiającym już kamienicom. Podobne do siebie, a jednak zupełnie różne, jak twarze ludzi. Chciałbym to wszystko zapamiętać, ów specyficzny nastrój: głębokie cienie nocy w oknach, pionowe kreski rynien, łuki balkonów, jaśniejsze plamki tynków, strome dachy

Wróciłem do akademika, gdy zegar z wieży kościoła wydzwaniał północ. Brydzyści jeszcze grali. Pokój wypełniał dym papierosów. Bez słowa wdrapałem się na górną półkę piętrowego łóżka. Odwróciłem twarz do ściany, jeszcze raz powróciłem przedsen-ny marzeniem w ulice obcego miasta, w którym zamieszkałem na wiele lat.

DZIEŃ ŚMIERCI GENERALISSIMUMUSA

Trzy lata temu, Panie - na przystanku Politechnika - w tym właśnie miejscu zatrzymał się tramwaj. Zapamiętałem tę chwilę. Marzec, południe, ulica skąpana w słońcu. Wyją syreny alarmowe. Miasto zamiera w bezruchu.

Umarł Stalin - Józef Wissarionowicz - "wierny uczeń i najbliższy współbojownik Lenina, kontynuator nauki i dzieła Marksa, Engelsa, Lenina, wielki wódz i nauczyciel Partii Komunistycznej i narodu radzieckiego".

Kim był ten mąż? Oto, Panie, fragment wiersza poety:

"Miliony ludzi Związku Rad i krajów idących drogą socjalizmu tworzą świat nowy, niosąc w sercach i na ustach imię Stalina.

Ludowa armia chińska kroczy naprzód i wypędza ze swego kraju przemoc obcą i niewolę pieniądza, wołając: Stalin!

W Wietnamie, na Wyspach Malajskich bojownicy wolności, niepodległości i sprawiedliwości walczą przeciw kolonizatorom, wołając: Stalin!

Górnicy francuscy trwają w strajkach i wyciągają dłonie na wschód z okrzykiem: Stalin!

Chłopi włoscy zajmują obszarowe nieużytki i - odpędzani gwałtem - wołają: Stalin!

Poeta, wypędzony ze swej ojczyzny za umiłowanie wolności i sprawiedliwości społecznej, piękny poeta chilijski pisze poemat o Stalinie.

Zmiażdżona okrutnie Warszawa dźwiga swe okrwawione cegły tym szybciej z imieniem Stalina.

Setki milionów ludzi wołają: Stalin! Stalin! Stalin!"

Na cześć tego wielkiego męża, Panie, miasto Braszow w Rumunii nazwano Stalin, stolicę Tadżyckiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej nazwano Stalinabad, najwyższy szczyt Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich nazwano Stalina Pik. Rozmnożyły się miasta noszące imię tego męża: Stalingrad, Stalino, Stalinogorsk, Stalinstadt, Stalińsk, Stalino-gród... tysiące ulic i placów nazwano imieniem Stalina. Miliony posągów, posążków, popiersi, portretów, płaskorzeźb wypełniło skwery, placyki, hale dworcowe, aule szkół, sale zebrań, ściany urzędów, mieszkań... Gdziekolwiek spojrzeć, Panie, twarz tego męża podgląda płynący potok ludzki.

Ale dla chwały tego wyjątkowego człowieka to jeszcze za mało. O jego wielkości szumią lasy, strumienie, nurty rzek, fale mórz i oceanów. Imię tego człowieka przywiera do kontynentów, kuli ziemskiej, planet, gwiazd, mgławic gwiazdnych...

Niestety! Bogowie też umierają. Zawyły syreny, stanęły tramwaje, zamarł ruch ulicy, twarze wykrzywił grymas bólu, z oczu popłynęły łzy, tu i ówdzie cichy szloch zmącił ciszę chwili zadumy.

Zdumiony patrzyłem, Panie, na dziejącą się chwilę. Patrzyłem pod własne nogi. Nie miałem dość odwagi, by spojrzeć ludzom w twarz. Łypiąc na lewo i prawo, spostrzegłem, że wcale nie mało pasażerów patrzy pod własne nogi. Tylko płaczący nie kryli łez ani bólu wymalowanego na twarzach. Pomyślałem: oto miliony płaczków na pogrzebie władcy. Pomyślałem: gdyby zebrać te milio-

ny strumyczków łez i zlać do jednej niecki wykopanej w gruzińskiej ziemi, powstałoby zapewne nie małe Jezioro Łez.

W prasie czytałem: "Zgon Stalina jest szczególnie dotkliwą stratą dla Partii, dla mas pracujących Kraju Rad i całego świata. Naród radziecki jeszcze ściślej skupił się wokół Partii Komunistycznej, jej KC i Rządu Radzieckiego. Nieśmiertelne imię Stalina żyć będzie zawsze w sercach ludzi radzieckich i całej postępowej ludzkości".

Przyznaję, Panie, że stojąc w owym płaczącym tramwaju, patrząc na czubki własnych butów, nie czułem żalu ani nawet odrobiny smutku. Ów wielki mąż był mi zupełnie obojętny. Gdzieś w głębi rodziło się podejrzenie, że jego sława, jego władza to sprytny szwindel, to manipulacje cwaniaczków. Przecież czytałem o wielkich, sławnych królach, wodzach... bogach za życia. Po ich śmierci okazywało się, że to puste, ba, często wypełnione cuchnącym fetorem balony. Ich sławne życia to teatryki dla ogromnych stad otumanionych owieczek.

Moje podejrzenia były słuszne. Dziś, stojąc w tym miejscu, wiem, że "autorytet Stalina w partii i w narodzie przerodził się w kult jego osoby". Przekłuto kolejny balon.



OFENSYWA IDEOLOGICZNA

Co jakiś czas, Panie, to tu, to tam, "geniusz polityczny" wpada na pomysł zaatakowania wyobraźni grupy społecznej ofensywą ideologiczną. Geniuszy dzielimy na wielkich, średnich i małych. Wielki geniusz z wielkiej trybuny rzuca hasło. Średni geniusze ze średniej wielkości trybun przekazują hasło małym geniuszkom działającym w małych grupkach społecznych. Na przykład w grupie studentów politechniki. Mały geniuszek siada zwykle za niewielkim stołem prezydialnym ustawionym w świetlicy i przekazuje siedzącym przed nim studentom myśli wielkiego geniusza.

Ofensywa ideologiczna to szerokie, najpowszechniejsze narzucenie systemu idei, poglądów, pojęć... możliwie największej grupie ludzi. To powszechne przemeblowanie pojęć w świadomości grupy społecznej. Ofensywa, Panie, to zwykle działania zaczepne, organizowane na bardzo wysokim albo najwyższym szczeblu drabiny dowodzenia. Ofensywa, to natarcie dużymi siłami na całym froncie. Od zarania swego istnienia ludzie, uwikłani w wojnach, atakowali rowy obronne, przeprawy, mury, bramy, zasieki, betonowe bunkry. Wreszcie ktoś wpadł na pomysł, żeby atakować wyobraźnię. I zapewne z tego pomysłu wzięły swój początek wojny i ofensywy ideologiczne.

Ileż to razy musiałem wysiadywać na zebraniu naprzeciw mównicy, z której prelegent pruć długimi seriami w scenerię moich wyobrażeń, w moje myśli, w ramy moich pojęć... Od czasu do czasu walił z granatnika, a nawet z dział najcięższego kalibru. Terkotał, grzmiał, huczał... Usiłował rozwalić to, co już zbudowałem, to co jakoś kupy się trzymało i mieściło w granicach zdrowego rozsądku. Usiłował na gruzowisku moich przekonań postawić budowlę własnych wyobrażeń.

Daremnie. Wciągałem na twarz odpowiedni do chwili wyraz zamyślenia, zadumania. W rzeczywistości pociski-argumenty prelegenta przelatowały obok mojej głowy albo wlatywały jednym uchem, wylatywały drugim, nie czyniąc najmniejszej szkody mojej wyobraźni. Na ogół nie mąciły też myśli wypracowanych samodzielnie obserwacji. Być może tu i tam trafiały w czyjś łeb, zamazywały, mąciły powierzchnię lusterek odbijających otaczającą nas rzeczywistość.

Mnie, Panie, nie dopadnie żadna ofensywa ideologiczna. Dotąd nie wykrzykiwałem w euforii "Niech żyje!" Nie wyba-

ruszałem gał z zachwytu, kiedy geniusz przemawiał z trybuny. Mam dobry słuch, dobry wzrok i węch nie najgorszy Oczywiście dla owych geniuszy ideologicznych jestem zakutym łbem. Cóż, pojęcie "zakuty łeb" jest obosieczne.

Ofensywy ideologiczne wymagają też specjalnych dekoracji, rekwizytów podnoszących ważność, dostojność, tajemniczość ceremonii. Konieczne transparentów z króciutkimi hasłami stanowiącymi rdzeń, kręgosłup ofensywy. Już tradycyjnie zza główek geniuszka przyglądała się zebrany w świetlicy z gipsowego popiersia gipsowa głowa ojca ofensywy.

Owe gipsowe głowy symbolizują, Panie, najwyższy stopień uzdolnienia, najwyższy poziom talentu, najwyższe wtajemniczenie, żyją za pan brat z opiekuńczymi duchami bogów. Dla siedzących naprzeciw to niedoścignione wzory, to bezdyskusyjne autorytety myśli, słów i uczynków.

A jednak, Panie, jakże często głowy modeli tych gipsowych "dzieł" wypełniają paranoja, obłęd, chorobliwe majaczenia, katastrofalne urojenia. Ileż to zakutych łbów utwalono w gipsie, powielono w milionach egzemplarzy, ustawiono nabożnie w miejscach publicznych po to, by w odpowiednim czasie, po następnej ofensywie ideologicznej, wyrzucić je po prostu na złomowisko.

To w owych "gipsowych" głowach zrodziły się hitlerowskie rzezie... W jednym półwieczu dwie światowe wojny. Rumowisko tego pięknego miasta - właśnie spaceruję jego uliczkami - to też ostateczny efekt ofensywy ideologicznej.

Podstawą ofensywy jest atak, więc: "Nasz stosunek do marksizmu to nasz stosunek do całego budownictwa socjalizmu. Kto nie uczy się marksizmu, staje w poprzek dążeniom naszego rządu, naszej partii! Kolegów lekceważących ten obowiązek należy przeanalizować. Niektórzy sądzą, że wystarczy być dobrym matematykiem albo mechanikiem. Nic podobnego, przyszły inżynier musi znać przede wszystkim dobrze marksizm..."

Panie, jeszcze mnie słuchasz? Ileż to podobnych bredni kierowano w moją stronę! Skutecznie obrzydono mi filozofię Marksa. Przecież nie tak durną, jak ją niektórzy prelegenci interpretują. Cdn.

Edward Kaczmarek
Absolwent Politechniki Gdańskiej

KOMU POTRZEBNA JEST DOLINA RADOŚCI?

*Fabryka małp, fabryka psów,
Rezerwat dzikich stworzeń,
Zawziętych tak, że i sam Bóg,
I Bóg im nawet nie pomoże...*

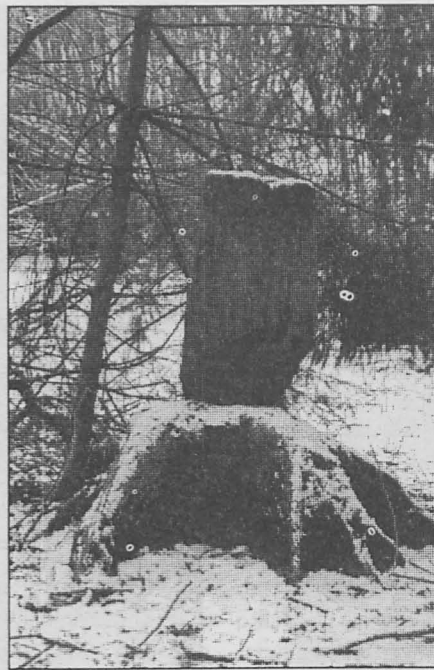
Posługując się słowami piosenki zespołu Lady Pank, tak właśnie lapidarnie można opisać współczesny Gdańsk. Autor tekstu przedstawiając nas pod postaciami zwierząt, nawiązał do klasyki literatury. Warto na wstępie zadać ważne pytanie: jak Bóg może pomóc jego mieszkańcom, skoro panuje ogólny chaos i poczucie zagrożenia, a ludzie nie identyfikują się z miejscem zamieszkiwania, które utraciło status normalnego, "żyjącego" miasta i przekształciło się w wielką "sypialnię"? Widać to na każdym kroku: egzystujemy pośród brzydkiego i trywialnego budownictwa (tworzone było w pośpiechu, bo ludzie muszą przecież gdzieś mieszkać); towarzyszą mu zniszczone przystanki tramwajowe, pomazane ściany i mury, zdewastowane trawniki i zieleńce, walające się śmieci i psie odchody,

zastawione samochodami podwórka i chodniki, smród spalin i hałas komunikacyjny. Obraz uzupełniają grupki sfrustrowanych pijacków raczających się "małym jasnym", emeryci o smutnych twarzach, z trudem znoszący troski dnia codziennego, i młodzi przechodnie, gonący za pieniądzem i dobrami doczesnymi, bezdomni "poszukiwacze skarbów" na osiedlowych śmietnikach, nastoletnia młodzież paląca ukradkiem papierosy, przerywająca co chwilę rozmowę wulgaryzmami. Można spotkać także narkomanów, będących "na koksie po herze", i pospolitych młodocianych "wączaczy kleju". Jak więc, wracając do słów piosenki, Wszechwładny Bóg może pomóc osobom nie wyznającym ogólnie przyjętych zasad moralnych i norm prawnych, wątpiającym w sens godziwego życia i na dodatek pozbawionym osobistej kultury - propagującym przemoc, nietolerancję i egoizm?

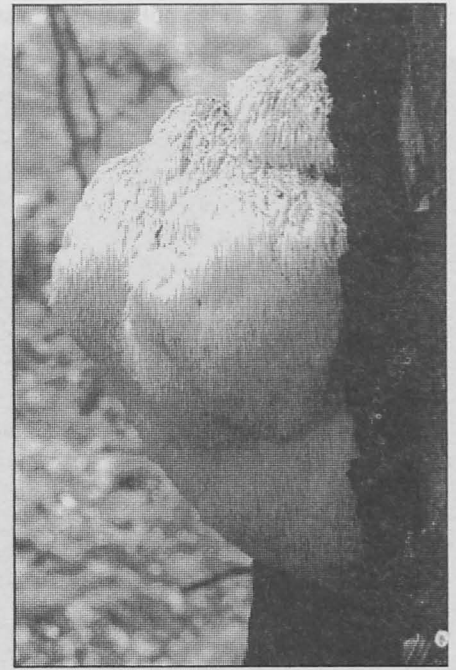
Zamknięcie się w swoim M3, czy M4 nie pozwala na uwolnienie się od tego codziennego koszmaru. Tu dopadnie nas telewizja, serwująca w okresie największej oglądalności mdłe



Nowe koryto Potoku Oliwskiego - Bytowska 5. Artykuł 4. Prawa Wodnego zabrania sprzedaży wód płynących. Jak to się stało, że sprzedano część Potoku Oliwskiego?



Zgryz bobrowy przy Potoku Oliwskim - pozostałość z początków lat 60. Dolina Bobrów, odnoga Doliny Radości



*Soplówka jeżowata (*Hericium erinaceum*) - jeden z najrzadszych krajowych gatunków grzybów makroskopowych; owocnik wyrósł na buku w Dolinie Radości*

bądź głupawe seriale ze śmiechem w tle (pierwsze to produkty brazylijskie, drugie - amerykańskie) oraz wytwór własnej, chorej, nastawionej na zysk twórczości: Audiotele. Dopelnieniem tego są bzdurne, natrętne, zniewalające reklamy. Trzeba naprawdę się natrudzić, by odnaleźć jakiś wartościowy program i nie ulec totalnemu odmóżdzeniu. Takie negatywne przykłady można mnożyć.

Identyczne problemy pojawiły się wcześniej w krajach Europy Zachodniej i w Stanach Zjednoczonych. Dlaczego więc brniemy w tym samym kierunku: nadmiernej, w założeniu nieograniczonej konsumpcji, upadku autorytetów moralnych, obniżenia się kultury, a w niedalekiej przyszłości masowych wizyt u psychiatrów? Pozorny dobrobyt z fikcyjną wolnością zostały bowiem okupione wielkimi stresami.

*

Już dawno mieszkańcy grodu położonego nad Motławą odkryli, że sposobem łagodzenia skutków dokuczliwej cywilizacji mogą być częste kontakty z okoliczną przyrodą: wycieczki nadbrzeżem Morza Bałtyckiego i do pobliskich lasów. Szczególnie ważną rolę pełniły kiedyś Lasy Oliwskie, których zadaniem, oprócz rekreacji, było także integrowanie społeczności gdańszczan. W Sopocie powstała Opera Leśna, we Wrzeszczu Gaj Gutenberga, w Oliwie skocznia narciarska, wytyczono liczne trasy turystyczne, a na obrzeżach terenów zalesionych i przy niektórych leśnych duktach wybudowano kawiarenki; w okresie wolnym od pracy były one licznie odwiedzane. Po tych ostatnich obiektach pozostały jedynie ruiny. Jednakże ich odtworzenie nie ma sensu - żyjemy w zupełnie innych czasach, upadku kultury - obiekty te stałyby się zwykłymi "mordowniami" i uległyby szybkiej dewastacji.

Mieszkańcy szczególnie upodobili sobie Dolinę Radości, która stała się celem licznych wycieczek całych rodzin. W czasach zaboru pruskiego Alexander von Humboldt, niemiecki przyrodnik i geograf (1769-1859), nazwał starą Oliwę i sąsied-

nią Doliną Radości (ówczesną *Freudental*) trzecim cudem świata.

Jej urodę docenili także współcześni: "Nie ma w Polsce drugiego miasta, które w swoich granicach miałoby taki skarb" (wicemarszałek Senatu Donald Tusk o Dolinie Radości, *Gazeta Morska*, 9 kwietnia 1998).

"Dolina Radości przyciągała przyrodników od bardzo dawna. Już w czasach zaboru, w XIX wieku, ówczesni badacze opisywali przyrodę jej i przylegających tzw. wzgórz morenowych. Dzisiaj czyta się te opisy prawie jak bajkę: piękne buczyny i lasy bukowo-dębowe, gatunki roślin, grzybów i zwierząt takie, jakich dzisiaj trudno szukać lub spotyka się niezwykle rzadko, a to wszystko jednocześnie wpisane w tło gospodarki, która zdecydowanie nie była tak agresywna jak współczesność" - to fragment opracowania autorstwa prof. Wiesława Fałtynowicza, botanika, zajmującego się badaniem lichenoflory.

- Potencjalnie warunki macie doskonale - mówi Gerard Lemoine, francuski oceanograf, w wywiadzie dla *Gazety Morskiej*, 18 maja 1998. - Można wsiąść w autobus i w dziesięć minut spotkać się z naturą. Często nie jest to krajobraz pierwotny, jest zmieniony przez człowieka, tak jak w Dolinie Radości, co jednak nie umniejsza jego znaczenia. We Francji, a właściwie w całej Europie Zachodniej, takich terenów wokół miast już nie ma.

Andrzej Garbalewski, specjalista ze zlikwidowanej pracowni dokumentacji w Zarządzie Parków Krajobrazowych, pisze: "Obecny stan poznania środowiska przyrodniczego Lasów Oliwskich, jakkolwiek ciągle jeszcze niewystarczający, pozwala stwierdzić, że kryją one nieprzeciętne wartości przyrodnicze. Jest zadziwiające, że w bezpośrednim sąsiedztwie dużej aglomeracji miejskiej zachował się tak mało jeszcze zniszczony duży kompleks leśny ("Lasy Oliwskie, krótkie omówienie ich walorów i problemów ochrony").

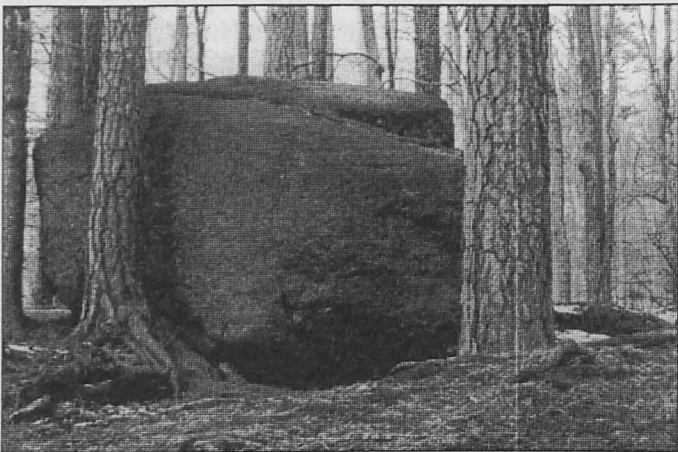
Do tych stwierdzeń pragnę dorzucić swoje przemyślenia, zamieszczone w przyrodniczych przewodnikach: "Śmiało moż-

na stwierdzić, że żadne polskie miasto stopnia wojewódzkiego nie posiada w najbliższym sąsiedztwie tak wspaniałego środowiska przyrodniczego, jak Gdańsk". "Przyroda Lasów Oliwskich, w szczególności ta występująca na obszarze Doliny Radości, może być atutem Gdańska, bowiem wśród dużych, nie tylko krajowych aglomeracji miejskich tylko nasze miasto w swoich granicach administracyjnych posiada tak wiele naturalnych i cennych pozostałości".

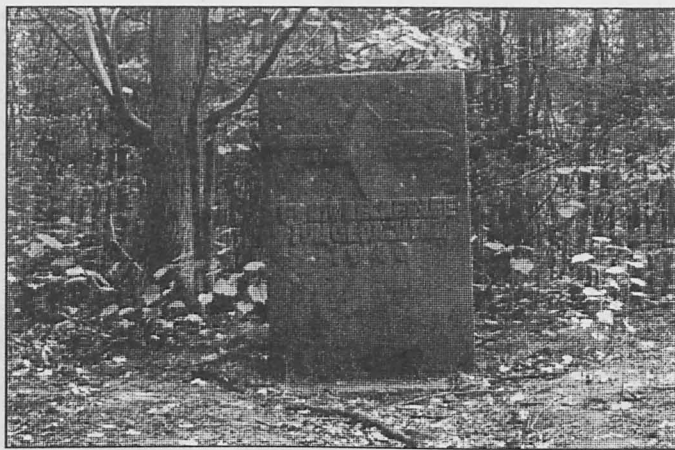
Nie wszyscy jednak docenili wartość przyrodniczo-krajobrazową "Magicznej Doliny". "W latach siedemdziesiątych Urząd Miejski w Gdańsku oddał całą Dolinę Radości i sąsiednie dolinki na ogródki działkowe. Stało się to pomimo protestów ludzi i instytucji walczących o ochronę środowiska. Najpiękniejszy niegdyś zakątek śródleśny, miejsce rekreacji gdańszczyzan od wielu dziesięcioleci, został spętany najróżnorodniejszymi ogrodzeniami i zabudowany pstrokaczną naiwnie zdobionych budek ogrodowych. Przepadł bez śladu urok naturalnego środowiska utworzonego z takich komponentów, jak urodziwy las, kręte i ujęte w oprawę drzew i krzewów koryto Potoku Oliwskiego, kwieciste łąki na dnie doliny, wszystko zamieszkałe przez niezliczone zastępy ptactwa i drobnej zwierzyny, bezpiecznie bytującej w tym krajobrazie i ciszy tego uroczego odosobnienia...". Te cenne stwierdzenia Franciszka Mamuszki zawarte zostały w przewodniku pt. "Oliwa. Okruchy z dziejów, zabytki". KAW, Gdańsk 1985. Szkoda, że decydenci zlekceważyli opinię znawcy, który przewidział i dalszy los tej wspaniałej, sponiewieranej doliny. Wystarczy udać się we wskazane miejsce i samemu dokonać oceny przyrodniczych i krajobrazowych zniszczeń.

W 1997 r., w czasie obchodów Milenium Gdańska (gdzie w Śródmieściu trwały uliczne zabawy i błazenady), po cichu, z naruszeniem prawa prywatyzowano część Doliny Radości. Był to swoisty "prezent" dla mieszkańców Gdańska z okazji święta. W sprawie dewastacji tego miejsca wypowiadały się różne osoby: niezależni ekolodzy, niektórzy prawnicy, decydenci, miłośnicy natury i mieszkańcy. Pierwsi mówili otwarcie o ewidentnych stratach przyrodniczych, drudzy - byli szczerzy tylko w rozmowach prywatnych, kolejni obiecywali rozwiązać problem z uwzględnieniem dobra wszystkich mieszkańców (były to, jak widać, przysłowiowe gruszki na wierzbie); ostatni zaś wspierali moralnie przyrodników i wskazywali na szereg uchybień natury prawnej przy zakupie ziemi: łapówki, znajomości (*Gazeta Morska*, 26 stycznia 1999).

Jedno jest oczywiste: wspomniana prywatyzacja udowodniła fałsz liberalnego podejścia do zagadnienia. Otóż nie każda prywatyzacja, jak widać na przykładzie, jest korzystna dla



Dolina Radości - "Diabelski Kamień"
- 12,5 m obwodu, pomnik przyrody nr 133



Dolina Radości - pomnik w rejonie skoczni narciarskiej
- pozostałość z czasów okupacji hitlerowskiej;
ciekawe, kim był Ernst Becker-Lee?

obywateli państwa, a własność grupowa, komunalna, związkowa, spółdzielcza itd. nie musi być czymś gorszym od indywidualnej, która to własność nie stanowi żadnego panaceum na kłopoty gospodarcze kraju.

Jaki będzie dalszy los Doliny Radości? Czy zostanie przekształcona w bastion dla nuworyszy, jak napisał w liście jeden z czytelników *Gazety*? Czy też ocaleje w zalewie bezprawia i zostanie przekazana wszystkim gdańszczyzanom, jako miejsce rekreacji i edukacji ekologicznej? Czy tak jak dawniej, całe rodziny będą odwiedzać to "Magiczne Miejsce" i swobodnie podążać "Szlakiem Wzgórz Szymbarskich"? Obecnie jest on we fragmencie wyłączony na skutek prywatyzacji.

Jedną z ważnych form wychowywania młodzieży jest kontakt z przyrodą - dowiodły tego doświadczenia prowadzone m.in. w Szwecji i w "Zielonej Szkole" we Wdzydzkim Parku Krajobrazowym. Ta ostatnia placówka, zlokalizowana w osadzie Schodno, została wymyślona i "wykreowana" przez Dariusza Podbereskiego, wykładowcę w szkole i pracownika Zarządu Parków Krajobrazowych w Gdańsku*. Na pięciodniowe turnusy z zakresu edukacji przyrodniczej przybywają tam grupy uczniów i ich nauczyciele. Zajęcia prowadzone są przez przyrodników, m.in. wykładowców z Uniwersytetu Gdańskiego. Może właśnie podobna forma wychowania (wycieczki jednodniowe) zostanie zastosowana w odniesieniu do młodych gdańszczyzan, a miejscem prowadzonych zajęć stanie się Dolina Radości, spełniająca idealnie wymagane warunki (projekt stacji edukacyjnej był sporządzony już w 1995 r., ale nie został zaakceptowany przez Regionalną Dyрекcję Lasów Państwowych). Jest wielce prawdopodobne, że wspomniana edukacja nauczy wielu szacunku do przyrody i bliźnich - nauczy życia w grupie, przez co zmniejszy się liczba młodocianych frustratów oraz "wączaczy kleju". Wszystko zależy od dobrej woli i mądrości gdańskich decydentów. Czy dadzą oni szansę młodym?

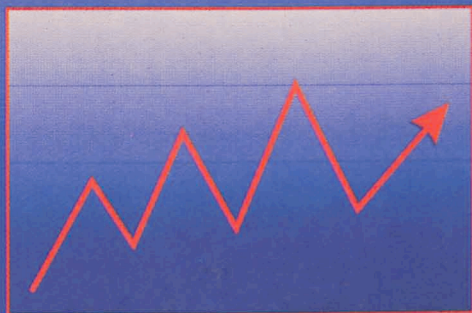
Marcin Stanisław Wilga
Wydział Mechaniczny
Zdjęcia autora

PS. Pewnie przedstawiony na wstępie obraz naszego miasta wyda się niektórym czytelnikom zbyt ponury. Pragnę wspomnieć, że w tym niekorzystnym środowisku żyją jeszcze "prawdziwi" ludzie wrażliwi na krzywdy bliźnich, prawdomówni, kulturalni, brzydzący się korupcją, pozytywnie nastawieni do natury. Mam to szczęście znać takie osoby i uważam się za ich przyjaciela.

* Artykuł o ścieżce przyrodniczej wokół jeziora Schodno zamieszczono w numerze 9/98 "Pisma PG".

ANALIZA EKONOMICZNA

FRANCISZEK BŁAWAT



POLITECHNIKA GDAŃSKA 1999

POLITECHNIKA GDAŃSKA
WYDZIAŁ ZARZĄDZANIA I EKONOMII
PROGRAM TESSA

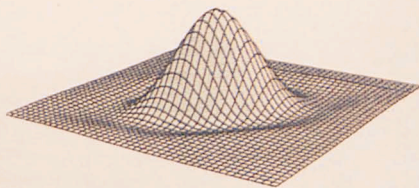
JAROSŁAW CICHY

ZARZĄDZANIE ŚRODOWISKOWE W PRZEDSIĘBIORSTWIE



GDAŃSK 1998

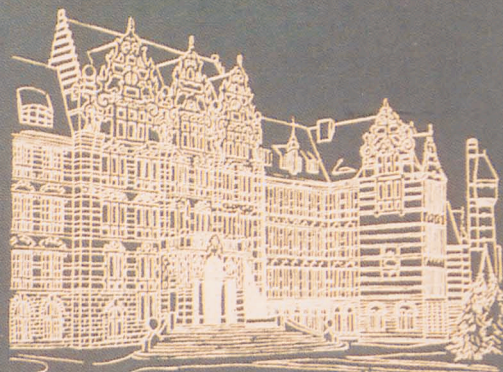
Karol Dziędziul



Pudełkowe funkcje gięte

Wydawnictwo Politechniki Gdańskiej

KSIĘGA JUBILEUSZOWA Z OKAZJI 70-LECIA PROFESORA TADEUSZA GODYCKIEGO-ĆWIRKO



POLITECHNIKA GDAŃSKA GDAŃSK 1998

JACEK KRENZ



ARCHITEKTURA ZNACZEŃ

WSPÓŁCZESNE METAMORFOZY MIAST PORTOWYCH



PRACA ZBIOROWA POD REDAKCJĄ MIECZYSLAWA KOCHANOWSKIEGO

PG

Fot. T. Chmielowiec

ANDRZEJ BARANOWSKI

PROJEKTOWANIE ZRÓWNOWAŻONE W ARCHITEKTURZE

POLITECHNIKA GDAŃSKA

monografie
2

Wydawnictwo Politechniki Gdańskiej działa od wielu lat. W jego historii były często okresy trudne - głównie z przyczyn finansowych. Ostatnio Wydawnictwo "wychodzi na prostą". Obok tradycyjnych publikacji w formie skryptów i zeszytów naukowych pojawiły się podręczniki oraz seria "Monografie". Zmianie uległa szata graficzna - zaprezentowane na okładkach PISMA przykłady niech zachęcą P.T. Autorów do współpracy.

Wiednocześnie Wydawnictwo oferuje wszystkie te nowości wielce szanownym Klientom; są one do nabycia, po cenach przystępnych, w Księgarni PG - w Gmachu Głównym Politechniki Gdańskiej.